

PREZENTUJEMY

Brat Mariusz Kurantkiewicz OFM urodził się we Włocławku. Po szkole średniej rozpoczął studia w Wyższym Seminarium Duchownym oo. Franciszkanów w Krakowie – Bronowicach Wielkich. W roku ubiegłym, dzięki wydawnictwu **FBI (Franciszkański Biuletyn Informacyjny)**, ukazał się jego pierwszy tomik pt. **W najgłębszej tajemnicy**.



krzyk zapętniony marzeniami
choć pełen rozpacz i szatu
wołanie o pomoc bogatych
a biednych wołanie o zdradę
nastawiam uszy i słucham
pech prześladowa mnie dzisiaj
poproszę bogatych o pomoc
a biednych poproszę o straty
może czas coś zmienić
przyniesie co dobre i nowe
bogaci biednymi się staną
a biedni...
– to czas już pokaże

szklanka stłuczona przypadkiem
ukazuje nam swą kruchość
pęka jak życie marne
godząc się z tym co niesie przyszłość

to nie jest tak
że nie chcemy
czasem
nie potrafimy
zrobić pierwszy krok
jest tak trudno
o czym wtedy myśliły..?

posłuchaj cisza
chce zabrać głos
być może pomoże ci
słuchaj
przepowiada twój los
i obraz kolejnych dni
posłuchaj echa
czterech ścian
serce daje mu głos
nabierz nadziei
w dzban
bo ominie cię o wlos...

LITANIA

pozwól mi Panie iść tak przez życie
by podobać się Tobie
w każdym moim czynie
w każdym moim słowie
pozwól mi Panie iść tak przez życie
by czynić dobro
iść z Tobą razem w każdy czas
lecz nigdy osobno
pozwól mi Panie iść tak przez życie
by nieść ludziom miłość
z Tobą podolałam wszystkim upadkom
z Tobą podolałam wszystkim trudom

pozwól mi Panie iść tak przez życie
bym gdy umrę nie w piekle
lecz znalazł się w niebie

na zegarze szczęścia
mkną wskazówki ludzkich istnień
w jednym kierunku
a jednak jakby nigdzie...
nie wszystko co nam się szczęściem wydaje
szczęściem jest naprawdę
potmyśli?
zanim cokolwiek szczęściem nazwiesz

BABCIA

twarz zmarszczkami pokryta
zmeżone drżące ręce
zgarbiona postać mgłą lat spowita
pełne miłości serce
wstaje z porannym śpiewem ptaka za oknem
znak krzyża czyni na chlebie
cichutko szykuje smaczne śniadanie
w pokoju zapach kawy z mlekiem
w południe hejnał cały dom wypełnia
jak co dzień od lat bez zmiany
wśród krzyków wnuczków: Anioł Pański
i radość że jest między nami

POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA

MIESIĘCZNIK KATOLICKI
WYDAWANY NAKŁADEM
XX MICHALITÓW

SPIS TREŚCI

● PREZENTUJEMY – br. M. Kurantkiewicz OFM	2
● KOGO SIĘ BAĆ? – ks. M. Gładysz CSMA	3
● JAKI PAN, TAKI KRAM! – B. Fedyszak-Radziejowska	4
● GODZINY WOLNOŚCI – A. Kołodziejski	6
● POZOSTAŁA LEGENDA – C. Bunikiewicz	8
● WYDANO WYROK, A ON ŻYJE! – I. Sikora	10
● BÓG NA MORZU – B. Nowak	12
● EWANGELIA WEDŁUG REŻYSERÓW – P. Kitrasiewicz	14
● RATUNKU! WAKACJE! – M. Przybysz	15
● MAGIA I WRÓZBIARSTWO – ks. T. Kaczmarek	16
● CHRYSYTUS TO JEDYNA DROGA! – ks. J. Cielecki	17
● MARKIEWICZOWSKI CHARYZMAT NA KARAIBACH – ks. W. Szpila CSMA	18
● CHCEMY ZOBACZYĆ JEZUSA! – M. Damasiewicz	20
● ZNIEKSZTAŁCANIE ŚWIATA – ks. A. Zwoliński	21
● FLAGGAPARADE NAD WISŁĄ – G. Guttman	22
● TO TAKŻE – J. Trammer	23
● AMERYKAŃSKI SEN – M. Kopczyńska	23
● KUTER POCZTYLIONEM – B. Olszonowicz	24
● ZYSK A ŚWIĘTOWANIE – ks. R. Nęcek	25
● DZIEDZICTWO KOŚCIÓŁÓW WSCHODU – ks. M. Starowiejski	26
● ŚMIERĆ KSIĘDZA ZYCHA – M. Klecel	27
● KOMUNIKACJA – MM	27
● SIECI BEZPIEKI – J. Wegner	28
● JUBILEUSZ III RP – S. Niesiołowski	29
● TKANE KSIĘGI – J. Kossakowski	30
● GRZECH NIECZYŹNOŚCI – M. Szreder	30
● RE-KITYZACJA – Żuk	31
● JEDNAK PODROŻAŁO – A.W. Pawluczuk	32
● ANIELSKA PIELGRZYMKĄ – Księża Michalici	33
● ODDZIAŁYWANIE AGRESYWNYCH GIER KOMPUTEROWYCH – rec. ks. M.G.	35

FOT. OKŁADKA I – G. Gałązka

FOT. OKŁADKA II – P. Zycielski (Bóg Zapłać 2004 – fotoreportaż)

Numer zamknięto 21 czerwca 2004 r.

ks. Mieczysław Gładysz CSMA



Kogo się bać?

– Żyjemy w dziwnych czasach – mówił starszy jego-
mość w cylinderku, z monoklem na lewym oku. Trzyma-
jąc się oburącz uchwyty nad metalowym fotelikiem tram-
wajowym, na którym ledwie się mieścił jego przyjaciel.
Jakby na raty wyrzucał z siebie niezadowolone i dezapro-
batę dla całej naszej rodzimej – jak mówił – *klynteli*: –
*Stedzi sobie ta zaraza – ciągnął smętnie – na superstoł-
kach i ani myśli ustąpić drugim, choćby na próbę. Wiesz
pan – kontynuował – oni wymyślili taki nowy sposób skła-
niania ludzi do czegośkolwiek: terroryzm! Nie jakoby oni,
ci nasi, kogoś mieli zabijać, ale po prostu terroryzmem
straszą. Mówią: trzeba emerytom i rencistom przycięć jał-
mużny, bo terroryzm... Trzeba matkom samotnym i rodzi-
nom wielodzietnym dać... pole do większej samodzielno-
ści – odbierając zasiłki, bo terroryzm... A najlepiej to by-
łoby chyba, gdybyś pan sam się powiesił i osobiście po-
grzebał... Im byłoby wtedy łatwiej, a jakże... I widzisz pan
– dodał jegomość – wnet pewnie strach przed terroryzmem
usprawiedliwi głupotę, a nawet zbrodnie... – O to chodzi!
O to chodzi... – włączył się, przebudzony szarpnięciem
tramwaju, przyjaciel.*

– *Mój Boże!* – pomyślałem sobie. – *Logiczne i etyczne
rozumowanie przeniosło się na ulice. A cóż to będzie, gdy
do nich dołączy wymiar sprawiedliwości?!*

Kilka dni temu pewien starszy ojciec duchowny po-
wiedział mi, że nasza hańba polega na tym, iż boimy się
wszystkich, oprócz... Boga! A przecież niczego nie trzeba
poza umiłowaniem Boga. Jeżeli zaś coś robisz i czujesz,
że twoja miłość do Niego maleje, wiedz: to jest grzech.
Jeżeli zaś coś robisz i postrzegasz, że twoja miłość do nie-
go rośnie, wiedz, że czynisz dobro. Musze powiedzieć, że
te słowa zacnego staruszka *chodzą z mną* bez przerwy.
A może jest tak, że *pielgrzymując* z zadaszką na wakacje,
by: zdobywać i zdobywać cokolwiek, kogokolwiek, lepiej
byłoby poćwiczyć odrobinę bojaźni Bożej? Tej świętej.
Kreatywnej. Dającej nadzieję. Jak Abrahamowi. Jak Moj-
żeszowi. Jak Matce Teresie. Jak księdzu Markiewiczowi...

Może wróciłibyśmy z wakacji, z urlopu, nieco mądrzej-
si, lepsi. Wszak mędrzec Pański mówił już dawno:
Bojaźń Boża początkiem mądrości!

ZWYCZAJNIE RZECZ BIORĄC – PO EUROWYBORACH 2004

Trzynastego czerwca 2004 r. mniej więcej co piąty Polak (Mimo że media nie przedstawiły merytorycznej, uczciwej debaty o problemach Unii Europejskiej, o kontrowersyjnych ustaleniach traktatu konstytucyjnego, o zakresie uprawnień Parlamentu Europejskiego) zdecydował się wziąć udział w eurowyborach, chociaż, jak sądzą, znacznie bardziej chcieliby wybrać nowy polski sejm.

Jaki pan, taki kram!

Frekwencja wyborcza wynosząca 20,87 proc. – to frekwencja ponad dwa razy mniejsza niż w wyborach 2001 i 2002 roku. Prezydent A. Kwaśniewski uznał ją za porażkę społeczeństwa obywatelskiego. Czy prezydent III RP udaje, że nie pamięta, czy rzeczywiście zapomniał o swojej publicznie złożonej obietnicy rozpisania wyborów do europarlamentu i do polskiego sejmu w jednym – czerwcowym terminie? Szkoda, że zmienił zdanie.

W kilku krajach starej i nowej Unii połączono wybory prezydenckie (Litwa), lokalne (np. Wielka Brytania, Niemcy) z Eurowyborami, zwiększając tym samym frekwencję i oszczędzając pieniądze podatników. Jeśli wybory do parlamentu Unii są czymś porażką, to w pierwszym rzędzie jest to porażka elity politycznej z politykami SLD na czele!

Nie wypada przerzucać na rodaków odpowiedzialności za własne błędy i własne zaniechania. Zastanawiam się, czy potencjalni wyborcy, którzy uznali, że nie potrafili zdecydować, kogo i z jakiej listy partyjnej chcą wybrać, wykazali się postawą obywatelską, czy też nie. Jeśli wyborcy nie ufają politykom, nie rozumieją do jakich zadań w **Parlamentzie Europejskim** ich wybierają, nie potrafia odróżnić polityków wiarygodnych od niewiarygodnych i dlatego rezygnują z czynnego prawa wyborczego to postępują (przynajmniej to z żalem) racjonalnie.

Wolałabym, podobnie jak prezydent III RP, by racjonalność skłaniała moich rodaków do aktywnej, a nie pasywnej postawy w wyborach. Ale za tę postawę

w większym stopniu odpowiedzialne są media, dziennikarze, politycy, elity opiniotwórcze, eksperci, szkoła i uczelnia, niż *szary obywatel*. To nie przypadek, że w wyborach uczestniczą w znacznie większym stopniu ludzie po czterdziestce niż ludzie przed trzydziestką. Kto tak wychował w III RP młodych ludzi, kto dostarczył im wzorów postawy obywatelskiej? Jak wychowuje dzisiaj polska szkoła? Czy ministerialne programy nauczania przewidują wiedzę o demokracji? Czy budują etos obywatelskiej odpowiedzialności? Czy koncentrują się na edukacji do życia seksualnego? Czy za tą sytuację odpowiadają w większym stopniu gospodynie domowe, czy też prezydenci, premierzy i ministrowie rządów?!

Dlatego nie czynię mym Rodakom wyrzutów, że nie wzięli licznego udziału w wyborach. Przecież od roku czekają na wybory do sejmu, w każdym kolejnym sondażu wyrażając coraz mniejsze poparcie dla L. Millera i jego rządu. I co? Ano nic. Pragnienie L. Millera *potrzymania polskiej flagi we dwóch* z panem prezydentem w Dublinie, w trakcie uroczystości przyjęcia nowych państw do UE, okazało się ważniejsze niż interes państwa. Całe pięć tygodni czekaliśmy, by zapowiedź dymisji rządu została zrealizowana: W wyborach do europarlamentu **SLD-UP**, czyli polityczne zaplecze rządu M. Belki, otrzymało poparcie tylko 569 tysięcy (!!!) osób, czyli 9,35 proc. głosujących. I co? I nic. Prezydent, który wyrzuca swoim obywatelom (a może podanym?), że nie są społeczeństwem obywatelskim, nadal upiera się przy planach

utrzymania władzy **SLD-UP**, używając M. Belki i sierpniowego terminu wyborów jako narzędzia szantażu politycznego. To jest właśnie prawdziwa *lekcja wychowania obywatelskiego* z demokracji, uczciwości wobec wyborców, z dotrzymywania politycznych obietnic, z poczucia odpowiedzialności za dobro wspólne. *Jaki pan, taki kram!*

Najciekawsze jest jednak to, że 20 proc. Polaków zachowało się 13 czerwca bardzo *po europejsku*, czyli dokładnie tak samo jak większość Europejczyków. Potraktowaliśmy wybory do Europarlamentu jako narzędzie nacisku na własne rządy, częściej popierając kandydatów z partii opozycyjnych, niż rządzących, pokazując, że dla *prawdliwych Europejczyków* ważniejsze są sprawy kraju niż nieco enigmatyczne losy europejskiej wspólnoty. Okazało się, że nadal, jak inni Europejczycy, uważamy się za obywateli państw narodowych i ich sprawy są dla nas najważniejsze. *Unia Europejska* była, jest i nadal powinna być wspólnotą państw i narodów, a nie jednym, federalnym superpaństwem.

To doprawdy interesujące, że mimo braku debaty nad traktatem konstytucyjnym, i to nie tylko w Polsce, lecz także w innych krajach, mimo pozornej zgody na przyjęcie w traktacie ustalenia, wyborcy w UE pokazali, jak dalece traktat ich podzielił, a nie połączył i że jego deklarowany cel – przybliżenie UE obywatelom – bardzo się oddalił.

W *Rzeczpospolitej* (15 VI) niemiecki dziennikarz z *Der Tagesspiegel* napisał: *Wybory do parlamentu europejskiego pokazały, iż coraz mniej obywateli Europy interesuje się sprawami Europy...* W przeglądzie prasy zagranicznej odnotowano takie komentarze: *13 czerwca Europa poniosła demokratyczną porażkę... politycy europejscy muszą zdać sobie sprawę z tego, że dystans między Europą a obywatelami staje się coraz większy. Traktat konstytucyjny nic tu nie zmieni...*

Okazało się, że reakcją na kontrolerskie rozwiązania traktatu konstytucyjnego okazała się polaryzacja wyborców, a nie ich integracja. Preambuła, bez odwołania się do wartości chrześcijańskich, wzmocnienie pozycji Niemiec i Francji dzięki zasadzie tzw. podwójnej większości przy podejmowaniu decyzji w Radzie Europejskiej, propozycja wspólnej polityki zagranicznej i obronnej w UE wzmocniły środowiska eurosceptyczne, utrudniając dialog między euroentuzjastami i eurorealistami.

W wyborach 13 czerwca mieszkańcy Europy wyrazili swoją wątpliwość, czy *Unia Europejska* naprawdę potrzebuje Konstytucji? Politykom, którzy lansują traktat, nie udzielili poparcia. I w tej sprawie Polska okazała się mocno *europejska*, czyli eurosceptyczna i euroentuzjastyczna zarazem, czego najlepszym symbolem jest zarówno sukces **Ligi Polskich Rodzin, Prawa i Sprawiedliwości** oraz **Platformy Obywatelskiej** (J.M. Rokity) w skali kraju, jak i osobisty sukces B. Geremka i **Unii Wolności** w Warszawie.

Co oznaczają te wyniki wyborów do Polski, czego dowiedzieliśmy się o nastrojach społecznych rodaków? Po pierwsze; wyborcy dokonali kolejnego zwrotu na prawo, w stronę **PO, PiS i LPR** (łącznie ponad 52 proc. głosów), co oznacza zdecydowane poparcie dla obrony ustaleń traktatu z Nicei i wzmocnienie presji na szybkie, najlepiej jesienią, wybory do sejmu. Zauważyliśmy, że poparcie dla tych partii jest znacznie bardziej zrównoważone, niż wynikało z sondaży dających **PO** przewagę nad pozostałymi partiami.

Po drugie: stabilizuje się malejące poparcie dla **Samobrony** i A. Leppera, który przegrywa rywalizację z **LPR** o elektorat eurosceptyków i wchodzi w coraz ostrzejszą rywalizację z **SLD** o poparcie mieszkańców wsi.

Po trzecie: wciąż potencjalnie silny jest w Polsce obóz lewicy, bowiem suma głosów oddanych na **Samobronę, SLD-UP** i **SDPL** wynosi ponad 25 proc.

Po czwarte: nowa partia **Zielonych**, bardzo aktywna w ostatnich kilku miesiącach, wspierana przez **Zielonych** z zachodniej Europy, organizująca parady i manifestacje wspólnie z środo-

wiskiem gejów i lesbijek, otrzymała 16 tysięcy głosów, co oznacza 0,27 proc. poparcia. Nawet kilka dodatkowych tysięcy głosów oddanych na antyklerykalne ugrupowanie **Racja** nie zmienia minimalnej akceptacji społecznej dla tych środowisk.

Po piąte; zastanawia powrót do politycznego życia **Unii Wolności**, tak zwanej partii środka, partii *elit*, partii *ludzi światłych*, czyli partii, która nie wnosi na scenę polityczną nic, oprócz znanych nazwisk i znanych problemów z tworzeniem koalicji politycznych...

Ale najciekawsze wydaje się wyrażone poparcie, jakie w wyborach otrzymali politycy dawnego **AWS**, umieszczeni na listach **PO**. Zwycięstwo Jerzego Buzka nad wszystkimi pozostałymi znanymi politykami, odniesione na Śląsku i wyrażone 173 tysiącami głosów ma znaczenie wręcz symboliczne. Podobnie znaczący wydaje się sukces ministra w rządzie **AWS** – J. Saryusza-Wolskiego w Łodzi. Gratulacje należą się zarówno politykom **PO** za pomysły przy-

wrżenia do politycznego życia ludzi, którzy wprowadzali Polskę w strukturę UE, jak i wyborcom, którzy w tak spektakularny sposób przyznali publicznie, że popełnili błąd, dając się uwieść czarnej propagandzie L. Millera.

Znaczenie symboliczne ma również wynik wyborów w Warszawie. Wysilek środowiska związanego z poprzednim prezydentem Warszawy P. Piskorskim (**PO**), by podważyć osiągnięcia nowego prezydenta L. Kaczyńskiego (**PiS**), spalił na panewce. Co prawda P. Piskorski zdobył mandat eurodeputowanego, ale wyraźnie przegrał z M. Kamińskim z **PiS** różnicą 50 tysięcy głosów. Wynik **PO** w Warszawie – 16,85 proc. – jest gorszy niż **PiS** – 22,7 proc., co oznacza, że konfrontację z L. Kaczyńskim P. Piskorski przegrał.

Jaki pan, taki kram... Chcemy wyższej frekwencji w wyborach? Zmieńmy, jak najszybciej, wszystkich *panów*, którzy do tej roli zupełnie się nie nadają...

Barbara Fedyszak-Radziejowska

Drodzy Czciele Matki Bożej!

Zwracam się do wszystkich, którzy słyszeli od swoich rodziców czy dziadków o cudownym pojawieniu się Matki Bożej nad Radzyminem, podczas Bitwy Warszawskiej w sierpniu 1920 r., z prośbą o złożenie relacji z tego wydarzenia. Pragnę zebrane świadectwa opublikować na chwałę Maryli, Matki i Królowej Polski.

Proszę o następujące informacje:

1. Jak wyglądała Matka Boża (możliwie dokładny opis) podczas pamiętnego ukazania się na niebie 15 sierpnia 1920 r.
2. Jak modlił się Kościół i wierni w Warszawie, Radzyminie oraz miejscowościach leżących na trasie do Warszawy (Marki, Struga, Kobyłka etc.) w czasie inwazji bolszewickiej na Polskę.
3. Proszę o podanie nazwisk osób, od których pochodzi relacje, i aktualnych adresów kontaktowych.

ks. dr Józef Bartnik SJ

Korespondencję proszę kierować na adres:

ks. dr Józef Bartnik SJ
Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej
ul. Świętojańska 10
00-288 Warszawa
e-mail: maria.laskawa@op.pl
fax: 022/ 831 02 91
tel./fax: 022/ 282 87 01

1 SIERPNI 1944 r. WYBUCHŁO POWSTANIE WARSZAWSKIE

Byli młodzi, bardzo młodzi. Mieli przed sobą przyszłość, długie, szczęśliwe życie. Przynajmniej tak im się wydawało. A zresztą, czy myśli się o śmierci, kiedy ma się 19, 20 lat, głowę pełną ideałów, szlachetnych dążeń, wiary w toczoną w warunkach okupacyjnych walkę? Czy zresztą mogli bać się śmierci, skoro, jak głosiła populama piosenka, nosili dodatkowe serce znalezione przy drodze... Teraz miał nastąpić przełom, nadchodziła upragniona, wyczekiwana godzina *W, W – jak Wolność*. Nie wszystkim dane było przeżyć zagładę Miasta. Na szczęście żyją wśród nas ci, którzy pamięć o tamtych tragicznych i bohaterkich dniach są w stanie przekazać następnym pokoleniom.

Godziny wolności

31 lipca 1944 r. podchorąży Jan Bronisław Ciesielski *Bojar* otrzymuje rozkaz szybkiego zgłoszenia się do punktu kontaktowego przy ul. Brackiej 8. Łączniczka powiedziała mu, żeby zaopatrzył się w dobre, mocne obuwie, cieplejsze ubranie i żywność na trzy dni...

Wtorkowy ranek 1 sierpnia 1944 r. był pochmurny i dżdżysty. Zza Wisły słychać było coraz wyraźniej głuche, potężne odgłosy wystrzałów artyleryjskich. Front zbliżał się ku Warszawie. Jej ulice były zapełnione tłumem ludzi, przede wszystkim młodych. Szli grupkami dwu-, trzy-, kilkusobowymi. Niektórzy z nich pod płaszczami ukrywali broń. Tramwaje były przeładowane. Ryksze rowerowe i dorożki konne kursowały we wszystkie strony. Patrole niemieckie krążące po ulicach miasta były jak zahipnotyzowane. Wydawało się, że boją się zatrzymać tych młodych ludzi śpieszących się nie wiadomo dokąd. Sytuacja z godziny na godzinę, stawała się coraz bardziej dramatyczna, coraz bardziej napięta.

Około południa doszedł do punktu zbornego przy ulicy Brackiej 8 dawno oczekiwany rozkaz o rozpoczęciu *Powstania* o godzinie 17.00 – godzinie *W*. Odczytał go nasz dowódca *Marat* – Marian Tucholski. Zaległa głęboka cisza. Wszyscy zdaliśmy sobie sprawę, że moment jest bardzo podniosły, niepowtarzalny, historyczny. Serca zabiły przyspieszonym rytmem. Nadeszła nareszcie chwila rozprawy ze zniemawionym wrogiem.

Gdy ochłoneliśmy z pierwszego wrażenia, kiedy padła komenda *spocznij*, nastąpił wybuch radości i nieklamane-

go entuzjazmu. Rzucaliśmy się sobie ramiona, ściskaliśmy i całowaliśmy. Rozpalone głowy mitygował *Marat*. – *Działać trzeba rozważnie i zgodnie z rozkazami* – mówił.

Podstawowym zadaniem było nawiązanie kontaktu z sąsiednimi domami przy ulicy Brackiej i zabezpieczenie się przed Niemcami znajdującymi się przy placu Trzech Krzyży. W tym celu należało zamknąć wylot Brackiej od strony placu Trzech Krzyży barykadą. Jej budowa to pierwsze nasze zadanie.

Od *Marata* otrzymaliśmy biało-czerwone opaski z orłem i literami *WP* na białym tle i *AK* – na czerwonym. Opaski te nałożyliśmy na lewe przedramię. Do godziny 17.00 nie wolno było nikomu wychodzić na ulicę ani wywieszać flag narodowych. Jedynie *Marat* udał się do sąsiednich domów i nawiązał bezpośredni kontakt z ich komendantami.

W ogólnym entuzjazmie i powszechnej radości zapomnieliśmy o jedzeniu. Nie zapomniała jedynie pani Lecewiczowa – właścicielka mieszkania, w którym się zebraliśmy – i w wielkim kotle od bielizny ugotowała zupę dla całego plutonu.

Nadeszła wreszcie godzina 17.00 – godzina *W* – godzina wybuchu *Powstania*. Wszyscy wybiegliśmy przed dom. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki ulice zapełniły się tłumem ludzi. Wydawało się, że cała Warszawa wyległa na powitanie wolności. Wśród radosnego tłumu wybijał się żołnierz z biało-czerwonymi opaskami. Tylko niektórzy z nich mieli broń. Z naszego

plutonu jedynie ja i *Marat* mieliśmy pistolety. W oknach i na balkonach domów załopotaly polskie flagi.

Padł rozkaz budowania barykady. W jednej chwili znalazły się żelazne łomy, kilofy, szpadle i łopaty. Z podwórek domów wynoszone pojemniki na śmieci. Setki rąk zgłosiło się ochotniczo do roboty. Kierował nią *Marat*.

W poprzek ulicy Brackiej u wylotu placu Trzech Krzyży wykopano potężny rów, za którym układano cementowe płyty zerwane z chodników, pojemniki na śmieci wypełnione kamieniami, worki z piaskiem oraz różnego rodzaju złom i żelastwo. W krótkim czasie zbudowano potężną barykadę wysokości rosłego mężczyzny.

Od strony placu Trzech Krzyży odezwały się pierwsze strzały. Niemcy strzelali z gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego, usytuowanego na rogu Nowego Świata i Alej Jerozolimskich. Nie było to groźne, gdyż osłaniały nas ściany budynków zwartej zabudowy Brackiej. Największe niebezpieczeństwo groziło nam od strony placu Trzech Krzyży, gdzie Niemcy byli usadowieni w *Soldatenheimie* i w Instytucie Gluchoniemych.

Świeżo zbudowaną barykadę należało obsadzić żołnierzami. I tutaj okazało się, jak słabo jesteśmy uzbrojeni. Wszystkie oddziały znajdujące się w chwili wybuchu *Powstania Warszawskiego* na ul. Brackiej dysponowały zaledwie dwoma karabinami z niewielką ilością amunicji, paroma granatami obronnymi i kilkoma pistoletami. Całe uzbrojenie zostało przydzielone posterunkom na barykadzie. W oknach domów umieszczono żołnierzy trzymających butelki z benzyną. Butelki miały służyć do obrzucania czołgów, gdyby wtargnęły w ulicę Bracką. W całej Warszawie słychać już było gwałtowną

strzelaninę.

Ogólnie rzecz biorąc, w pierwszych dniach *Powstania*, Niemcy przyjęli taktykę obronną. Obsadzili większość ważnych, pod względem strategicznym, komunikacyjnym, administracyjnym i ekonomicznym, budynków, ubezpieczyli te obiekty bunkrami i zasiekami z drutu kolczastego, ale – przynajmniej w Śródmieściu – nie usiłowali atakować powstańców bezpośrednio.

W takiej to sytuacji otrzymaliśmy rozkaz, aby cały nasz pluton przedostał się na ulicę Złotą przy Sosnowej. W normalnych warunkach byłoby to krótki spacer po centralnych ulicach Śródmieścia, ale w czasie walk odcinek Bracka – Złota bardzo się wydłużył i obfitował w wiele niebezpieczeństw.

Przedzieraliśmy się małymi grupkami, po dwie, najwyżej trzy osoby, gdyż ogień z karabinów maszynowych z BGK z jednej strony i ze skrzyżowania Alej Jerozolimskich z drugiej był bardzo silny. Ja poszedłem z którymś z kolegów z mojej drużyny. Dochodziliśmy właśnie do Alej Jerozolimskich, gdy nagle od strony Marszałkowskiej dał się słyszeć warkot, który potężną z każdą chwilą. Wkrótce naszym oczom ukazał się dziwny widok. Alejami Jerozolimskimi jechał niemiecki czołg, a po jego bokach pedzono zbity tłum kobiet i mężczyzn. W ten perfidny sposób Niemcy chronili swoje pojazdy przed butelkami zapalającymi, które w ciasnych uliczkach miasta stawały się bardzo skuteczną bronią. Kiedy czołg minął Bracką i skierował się do BGK, nagle spod ściany budynku oderwało się kilka osób. Wśród nich byłem i ja wraz z kolegą z mojej drużyny. Gdy byliśmy już na środku szerokiej jezdni, przywitał nas grad pocisków z gmachu BGK. Po przeciwnej stronie Alej stał blaszany, okrągły słup ogłoszeniowy. Do tego słupa pędziłem jak szalony. Kule błykały koło mojej głowy, odbijały się rykoszetem od jezdni, klepały głucho w blachę *ogłoszeniowca*. Przy słupie zatrzymałem się tylko na moment, zaczerpnąłem powietrza i jednym skokiem znalazłem się po drugiej stronie Alej, poza zasięgiem niemieckiej broni maszynowej. Był to mój



Jan Bronisław Ciesielski (Bojar) – urodził się 08.01.1921 r. w Częstochowie. W 1940 r. wstąpił do *ZWZ*, a w 1943 r. został przez Niemców aresztowany i osadzony na Pawiaku. Wieziony do obozu w Majdanku, uciekł z pociągu i powrócił do Warszawy. Gdy wybuchło *Powstanie Warszawskie* walczył w szeregach IV Zgr. *GURT AK* w Śródmieściu jako dowódca drużyny w stopniu kpr. pchor. w plutonie I porucznika *Lutego*. Brał udział w wielu akcjach bojowych, m. in. o gmach *PAST-y*, w Halach Mirowskich, o hotel *Astoria*, zdobycie pociągu pancernego w linii średnicowej i in. Po upadku *Powstania* przebywał w obozie niemieckim w Lamsdorfie. 29.01.1945 r. udało mu się

zbiec z kolumny marszowej i po wielu przygodach przedostał się do Wielkiej Brytanii, gdzie zgłosił się do Polskich Sił Zbrojnych. Przez dwa lata służył w lotnictwie, łączności i Wojskowym Instytucie Geograficznym. Po powrocie do kraju skończył studia geodezyjne na Politechnice Warszawskiej i rozpoczął pracę w Geodezyjnym Instytucie Naukowo-Badawczym jako starszy asystent. W marcu 1953 r. został aresztowany przez *UB* pod zarzutem zamiaru wysadzenia Pałacu Kultury i Nauki, przy którego budowie był zatrudniony jako inż. geodeta. Po paru tygodniach intensywnego śledztwa został zwolniony. Jako doktor nauk technicznych przez wiele lat związany był z Instytutem Geodezji i Kartografii.

powstańcy chrzest bojowy...

Spokojnym już krokiem szliśmy teraz ulicą Bracką. Przez ulicę Szpitalną widoczny był *Prudencjał*, na którym powiewała flaga biało-czerwona. Na placu Napoleona słychać było gwałtowną strzelaninę. To chłopcy z batalionu *Kiliński* zdobywali gmach Poczty Głównej.

Z ulicy Brackiej przez *Zgodę* doszliśmy do ulicy Złotej. Przejście przez Marszałkowską było bardzo niebezpieczne, gdyż Niemcy silnie ją ostrzeżali. Była co prawda barykada przecinająca w poprzek tę ulicę, ale nie zapewniała ona bezpieczeństwa. Najlepiej świadczył o tym trup młodej kobiety leżący na jezdni. Na zastanawianie nie było jednak czasu. Zgięci w pół, z głowami pochylonymi, przeskoczyliśmy Marszałkowską, korzystając z przerwy w ostrale barykady. A po drugiej stronie na Złotej powitały nas domy całe w biało-czerwonych flagach. Rozradowane tłumy wyległy na

ulicę. Tutaj czuliśmy się wolni, tutaj była wolna Polska...

Z tych moich pierwszych powstańczych dni, kiedy zdobywaliśmy m.in. hotel *Astoria*, walczyliśmy na ulicach Warszawy, doskonale zapamiętałem niedzielę 6 sierpnia. To był piękny słoneczny dzień. O godz. 10.00 na podwórzu jednego z domów po nieparzystej stronie ulicy Złotej (nr 35 lub 37) odprawiana była Msza św. polowa, celebrowana przez naszego kapelana z kościoła pod wezwaniem Wszystkich Świętych. Z wielką powagą i w skupieniu słuchaliśmy tej Mszy św., prosząc Boga o ocalenie i ratunek dla siebie i najbliższych. Każde z nas przystąpiło do Komunii św., gdyż wszyscy otrzymaliśmy *absolutorium w godzinę śmierci*. I tak teraz po latach sobie myślę, że szczególnie ta modlitwa, zawierzenie się Bogu w czasie Mszy św. odprawianej wśród zgłiszczy i strzałów pomogło mi przetrwać najcięższe chwile w czasie powstania i mojej długiej wojennej tułaczki...

Andrzej Kołodziejski

W 60. ROCZNICĘ OPERACJI BURZA

Ze względu na miejsce wybuchu (stolica Polski) oraz heroiczną postawę jego uczestników, a także ze względu na liczbę ofiar (ponad 200 tys.) *Powstanie Warszawskie* zwykle się wspominać jako nie posiadający precedensu fenomen historyczny. I w takim kontekście rozpatrywana jest także słuszność (bądź niesłuszność) podjętej ongiś przez zawodowych wojskowych decyzji o rozpoczęciu powstania, przy założeniu, że do walki o miasto włączy się wojsko sowieckie, które (jak to zapisano w pokracczej figurze retorycznej) miało być sojusznikiem naszych sojuszników.

Pozostała legenda

Powstanie Warszawskie było ostatnim rozpaczliwym posunięciem polskich sztabowców, mającym zmusić aliantów do przywrócenia naszemu krajowi prawa do wolności i niepodległości. Było też ostatnim najtragiczniejszym elementem wielkiej operacji pod kryptonimem *Burza*, która miała swym zasięgiem objąć całe terytorium Polski, w jej granicach z 1939 r. Przypomnieć też warto, że do planu tej operacji dopiero od wiosny 1944 r. włączono walki o opanowanie dużych aglomeracji miejskich.

Zyczeniowe myślenie na szczeblu Londynu, przeniesione do Warszawy i Wilna, doprowadziło prosto do klęski. Kolejne, podejmowane *razem z sowietami*, wielkie akcje, kończyły się zawsze naradami, z których nie powracali, wywiezieni do Moskwy drogą lotniczą, oficerowie sztabowi, podczas gdy innych, niższych stopniem, aresztowano na miejscu, a podległych im żołnierzy rozbrajano, spędzano do obozów zbiorczych i wywożono na długie lata na *białe niedźwiedzie*. Gorzkie doświadczenia z lipca 1944 r. w Wilnie czy pod koniec tegoż miesiąca we Lwowie nie miały żadnej siły sprawczej, jeśli chodzi o logiczne decyzji podejmowanych później w Warszawie.

Dlaczego zlekceważono wszystkie doświadczenia, jakie ze znacznym wyprzedzeniem zdobyli już Polacy w Okręgu Nowogródzkim *Armii Krajowej*? Przecież to był prawdziwy probierz stosunków polsko-sowieckich. Tam sprawdzono *na własnym grzbiecie*, czego się można od nich spodziewać. Znakomi-

cie działań nasz własny wywiad, miejscowe doświadczenia potwierdzali wysłani tam oficerowie instruktorzy, jak chociażby *cichociemny* mjr Maciej Kalenkiewicz *Kotwicz*, ostatni komendant Okręgu, czy też *cichociemny* por. Jan Piwnik *Pomury*, który z rozpaczy sam wyszedł naprzeciw śmierci 16.06.1944 r. przy ataku na bункier w Jewłaszach.

Pomimo doświadczeń z okresu pierwszej okupacji sowieckiej ludność dawnego woj. nowogródzkiego z pełnym miłosierdziem odnosiła się do rozbitków *Armii Czerwonej* (tzw. *okrużeńców*) i innych przybyszów ze Wschodu czyli *wostoczniaków*, którzy znaleźli się pod okupacją niemiecką na ich terenie. W obcowaniu z nimi popełnili karzący błąd zarówno Polacy (przyjmując pod swój dach na równi z frontowymi żołnierzami komisarzy politycznych, funkcjonariuszy partyjnych czy ich koźniejszych stopniem, aresztowano na miejscu, a podległych im żołnierzy rozbrajano, spędzano do obozów zbiorczych i wywożono na długie lata na *białe niedźwiedzie*). Gorzkie doświadczenia z lipca 1944 r. w Wilnie czy pod koniec tegoż miesiąca we Lwowie nie miały żadnej siły sprawczej, jeśli chodzi o logiczne decyzji podejmowanych później w Warszawie.

Początkowo partyzantka sowiecka nie miała żadnego znaczenia. Jednak od 1942 r. na polskie tereny przybywało coraz więcej uzbrojonych grup zza dawnej granicy. Bo po tamtej stronie panował głód i nędza. Zwycięstwo pod Stalingradem w lutym 1943 r. i objęcie jednolitym kierownictwem partyjnym i wojskowym uzbrojonych grup sowieckich na terenie tzw. Zachodniej Białorusi zaowocowało dalszym nasyceniem tych ziem elementem sowieckim. Rekwizycje przekształciły się w zwykłe grabieże. Chociaż do tego momentu

członkowie polskiej konspiracji rzadko się ujawniali, z konieczności zaczęto tworzyć oddziały samoobrony dla ochrony polskiej ludności przed rabunkiem. Pierwszy z nich powstał pod dowództwem osadnika wojskowego sierżanta Franciszka Miszczyka w Niecieczy pod Lidą. Także w późniejszym okresie kilka z oddziałów *akowskich* na tych terenach było zmuszonych walczyć przede wszystkim z Sowietami – w obronie polskiej ludności i jej mienia (m.in. Batalion Zaniemeński ppor. Czesława Zajączkowskiego *Ragnera*).

W terenie istniały żydowskie tzw. grupy przetrwania, nazywane przez Polaków *Jerozolimką*. Były one liczne i z czasem przekształciły się w zwykłe bandy rabunkowe, tepione nawet przez Sowietów. Ale jednocześnie najbardziej własnie podporządkowane jej grupy żydowskie. Na przykład w skład żydowskiego Zgrupowania Baranowickiego wchodziły dwa *rodzinne* oddziały żydowskie: *Tewiego Bielskiego* (oddział im. Ordżonikidze) i *Zorina* (tzw. oddział nr 106). Pod koniec kwietnia 1944 r. pierwszy liczył 941 ludzi (162 uzbrojonych), drugi – 562 (73 uzbrojonych). Powstały one z ukrywających się w lasach zbiegów z gett, m.in. w Mińsku, Nowogródku, Iwju i innych miasteczkach kresowych. *Tewie* sływał również z tego, że w rabowanych wsiach polskich urządził kilkunastu pijaćki *imieniny i wesela*. Podobnymi efektami gospodarczymi mógł się pochwalić oddział *Zorina*. Szef sztabu tej *jednostki wojskowej* wspominał po latach z rozrzewaniem, że *jedzenia było tam pod dostatkiem, a nawet gromadziło się zapasy. Nadwyżki jedzenia posyłałiśmy nawet do Moskwy. Raz w tygodniu lądował na polowym lotnisku samolot. Przywoził gazety i materiały propagandowe, a zabierał samogon, słoninę i kiełbasy własnego wyrobu...* Działo się tak wtedy, gdy polskie kobiety, chowając pod kłodami drewna ostatniego prosiaka, zatykały mu uszy pakułami, aby świnka nie odpowiedziała kwiczeniem na wabienie rabusiów. Istniało też u sowietów poję-

cie *ukarać gospodarco*, czyli skonfiskować czyjeś mienie i spalić mu zabudowania za współpracę z polską konspiracją czy oddziałem zbrojnym.

W obozach żydowskich pracowały też na rzecz sowietów szwalnie, kuźnie, młyny, piekarnie, zakłady szewskie i rusznikarskie. Wkrótce po *połączeniu się z Armią Czerwoną* bardzo wielu z ich mieszkańców zasiliło szereg czerezonego aparatu represji także w Polsce centralnej – jako *wypróbowani w boju i dobrze znający polski teren towarzysze*.

Polskie oddziały charakteryzowały się tym, że były w pełni umundurowane, zdyscyplinowane, dobrze dowodzone i do boju lepiej wyszkolone od sowieckich. Za to były o wiele mniej liczne i znacznie gorzej uzbrojone. Ich głównym oparciem była rodzima ludność, przyjmująca, często króć ryzykując życiem (gdzie działo się to na pograniczu wpływów), polskich żołnierzy pod swój dach. Należy zaznaczyć, że była to ludność nie tylko polska – 40 proc. stanu osobowego polskich oddziałów stanowili Białorusini. Naszych żołnierzy nazywano legionistami – *legionierami*, w odróżnieniu od sowieckich czy żydowskich *partyzantów*. Partyzanci sowieccy nosili ubrania cywilne, również zrabowane u ludności. Z *wielkiej ziemi* – czyli z terenów ZSRR nie zajętych przez Niemców, docierała do nich natomiast broń, materiały wybuchowe i tzw. politgramota. W przeciwieństwie do Polaków sowieci koncentrowali się na sabotażu (kolej, drogi, mosty) i terrorze, unikając otwartej walki z Niemcami. Wywodzące się z konspiracji polskie oddziały zbrojne powstawały niejako równoległe z partyzantką sowiecką. Na szczęście jednak sowiecki wywiad nie znał dokładnie struktury polskiej konspiracji – a i tak jego rozpoznanie, przeważnie na szczeblu placówek terenowych, powodowało spustoszenie wśród *akowców*, ich rodzin, sąsiadów i sympatyków.

Zadne narzucane *z góry*, ze strony Komendy Głównej *Armii Krajowej*, próby porozumienia z sowietami nie dawały (bo i nie mogły dać) rezultatu. Niekorzystne nastawienie wobec polskiego, podporządkowanego Londyno-

wi wojska w kraju, nazywanego przez nich *wojskiem sikorskim*, narastało stopniowo, czego wyrazem była zmiana nomenklatury używanej w sowieckim dowództwie i w wewnętrznym obiegu dokumentów sowieckich zgrupowań partyzanckich. Jednak wszystko stało się jasne od momentu, gdy nazywano *akowców* wprost *białopolskimi bandytami*.

Próba utrzymania Batalionu Stołpeckiego *AK*, utworzonego przez por. Kacpra Miłazewskiego *Lewalda* – zresztą pierwotnie za zgodą dowództwa partyzantki sowieckiej w Puszczy Nalibockiej – przekonane, że jest to oddolna, miejscowa inicjatywa – w sowieckiej strefie wpływów (granicą tych wpływów była rzeka Niemien; granicą wpływów polskich był jej zachodni brzeg, sowieckich – brzeg wschodni) – zakończyła się rozbrojeniem oddziału, deportacją drogą lotniczą do Moskwy dowódcy i oficerów, zaproszonych uprzednio *na naradę do dowództwa brygady*, rozstrzelaniem innych oficerów, podoficerów i żołnierzy uznanych za szczególnie *niebezpiecznych* oraz wcieleniem reszty do oddziałów sowieckich. Stało się to 1 grudnia 1943 r. Data ta jest uznawana za początek otwartej, polsko-sowieckiej wojny na terenie Okręgu Nowogródzkiego *Armii Krajowej*.

Batalion mógł istnieć tak długo, jak długo sowieci jeszcze luzili się, że będzie on dogodną bazą do *rozpracowania* polskiego środowiska. Przeszał istnieć, gdy wywiad zdobył namacalne dowody jego podległości *AK* i Londynowi, a w miejscu jego postoju pojawili się oficerowie spoza terenu Okręgu. Z tej matki chor. Zdzisławowi Nurkiewiczowi ps. *Noc* udało się wyprowadzić jedynie większość kawalerii. Pozostałe resztki wojska (157 osób) skupiły się wokół *cichociemnego* instruktora, święto przybyłego do oddziału, por. Adolfa Pilcha *Góry – Doliny*. Później, latem 1944 r., po rozroznieniu się oddziału do rozmiarów Zgrupowania Stołpecko-Nalibockiego, por. A. Pilch nie ryzykował już rozbrojeniem przez sowietów, ale, posługując się fortelem, dotarł z wojskiem aż do Puszczy Kampinoskiej, a

jego ludzie walczyli w *powstaniu warszawskim*. Jak na ironię byli wówczas jedyną odpowiednio dużą i dobrze uzbrojoną formacją (ponad tysiąc ludzi), która miała szanse przetrwać z Żoliborza, by zaofiarować swą pomoc Staremu Miastu. Gdy przebracia się przez torę Dworca Gdańskiego kilkuset ułanów nalibockich przeplaciło życiem.

Stopniowe pogarszanie się stosunku Sowietów do Polaków, podstępne próby rozbijania polskiej konspiracji patriotycznej i likwidacji wywodzących się z niej oddziałów zbrojnych, datujące się od momentu zdobycia przez ZSRR przegranej nad Niemcami pod Stalingradem, nasilały się stale. Tendencje te stawały się coraz bardziej widoczne po zerwaniu przez ZSRR stosunków dyplomatycznych z rządem londyńskim na skutek odkrycia *zbrodni katyńskiej*. Po całkowicie rozwiązującej im ręce konferencji ministrów spraw zagranicznych Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i ZSRR w Moskwie 19 – 30 października 1943 r. przystąpiono do ostatecznej rozprawy z polskością na Kresach Wschodnich. Miało to jednak niewielki wpływ na kolejne decyzje, wyższego aniżeli władze Okręgu, dowództwa polskiego.

Chociaż po tym, co spotkało na Nowogródzcyźnie por. Kacpra Miłazewskiego *Lewalda*, jego wojsko i innych oficerów, raczej już można się było domyślić, co później w podobnej sytuacji spotka gen. Aleksandra Krzyżanowskiego, *akowców* w Wilnie oraz w Puszczy Rudnickiej, czy też gen. Władysława Filipkowskiego *Jankę* we Lwowie.

Ale i bezpośrednio po tych wydarzeniach nadal mocno wierzone w Londynie i Warszawie w jakiś cud. I zupełnie irracjonalnie także w sojuszników oraz sojuszników naszych sojuszników, którzy już dawno (choćby znowu) nie byli naszymi sojusznikami.

Jednak cud nie nastąpił... A po hekatombie warszawskiej pozostała heroiczna legenda, która zasłona zapomnienia zakryła przed kolejnymi pokoleniami już rozbrojeniem przez sowietów, ale, posługując się fortelem, dotarł z wojskiem aż do Puszczy Kampinoskiej, a

Cezary Bunikiewicz

PRZYSZŁOŚĆ LUDZKOŚCI IDZIE PRZEZ RODZINĘ

Dziewięć lat temu o życie małego chłopca toczyła się batalia w mediach. Wielcy i potężni uznali, że nie powinni się urodzić...

Wydano wyrok, a on żyje!

W niedzielę 16 maja br. niebo nad Mazowszem rozjaśniało od pierwszych, nieśmiałych promyków słońca. Kiedy wraz z o. Palecznym, kamilianinem, dojeżdżaliśmy do kościoła w K., nabożeństwo już się rozpoczęło. Wnętrze niedawno odnowione kościoła pięknie udekorowano kwiatami. Pośrodku gromada dzieci w albach, elegancko ubrani rodzice i krewni. Ksiądz proboszcz w czasie kazania opowiadał historię chłopca, który bał się przystąpić do spowiedzi, ale w końcu przewyciężył obawy i zmienił się na lepsze...

– Drogie dzieci, czy wy także chcecie być lepsze?

– Chcemy! Chcemy!...

Któż by nie chciał? Szczególnie w takim dniu: dniu Pierwszej Komunii Świętej. Wśród ubranych na białą dzieci wypatruję znajomej sylwetki. Wreszcie zauważam krótko ostrzyżoną, jasną główkę. To Bartek, mój chrześniak. W ciągu ostatniego roku urosł i wyszczuplał. Siedzi z poważną miną obok siostry i pani dyrektorowej. Skupiony i uroczy. Niczym nie różni się od innych dzieci. Aż trudno uwierzyć, że dziewięć lat temu o życie tego małego chłopca toczyła się batalia w mediach. Wielcy i potężni uznali, że nie powinni się urodzić.

Historia rozpoczęła się w kwietniu 1995 r., kiedy do szpitala wolskiego w Warszawie przywieziono Zofię Z. dołknęta częściowym paraliżem. Przyczyną dolegliwości, jak się później okazało, był nowotwór mózgu wymagający skomplikowanej operacji neurochirurgicznej. Choć nie było gwarancji, że operacja się powiedzie, przeprowadzo-

no serię badań, w czasie których okazało się, że Zofia Z. jest w ciąży. Stosując standardową procedurę, lekarze zalecili jej przerwanie ciąży, uzasadniając to złym stanem zdrowia pacjentki oraz prawdopodobieństwem uszkodzenia płodu w trakcie badań. Pod naciskiem lekarzy pani Zofia, matka siedmiorga dzieci, zgodziła się na zabieg. O planach lekarzy dowiedział się pracujący na oddziale neurologii sanitariusz p. Zenon Józwicki. Nie mogąc samodzielnie przeszkodzić w nieuzasadnionej, wg niego, aborcji, zwrócił się o pomoc do o. Bogusława Palecznego pracującego wśród bezdomnych na Dworcu Centralnym. Ojciec Paleczny zjawił się w szpitalu w ostatniej chwili. Najpierw usiłował przekonać lekarzy, że leczenie guza mózgu przy pomocy skrobanki niewiele pomoże. Potem postanowił zwrócić się do prokuratury, zgłaszając zamiar popełnienia przestępstwa. Ten radykalny krok poskutkował. Lekarze odstąpili od zamiaru aborcji i zastosowali leczenie farmakologiczne.

Atak Urbana

Kiedy wydawało się, że wszystko jest na

dobrej drodze, *sily postępu* przystąpiły do kontrataku. W pierwszej kolejności zwolniono z pracy p. Józwickiego oraz szpitalnego kapelana, który zresztą nie miał nic wspólnego ze sprawą. Później zaatakowały dowodzone przez J. Urbana media. Tygodnik *NIE* wystąpił z materiałem *Obronić na śmierć*, skierowanym przeciwko uchwałonej kilka miesięcy wcześniej ustawie antyaborcyjnej. *Ustawa antyaborcyjna miała bronić życia poczętego*. Okazuje się, że może *zabijać* – głosił dramatyczny podtytuł. W wersji wypadków opracowanej przez J. Urbana aborcja zaplanowana w szpitalu wolskim była *dobrem*, natomiast działania o. Palecznego, nazywanego w skrócie *ksiądzem katem*, prowadziły do zastraszenia lekarzy i opóźnienia w skutecznym leczeniu pacjentki. Dla wzmocnienia wymowy artykułu wypowiedzieli się anonimowi *specjaliści*: neurolog i ginekolog ze szpitala wolskiego. Obaj



foto: P. Złoteński

zgodnie twierdzili, że decyzja o przerwaniu ciąży była słuszną. Jeśli chodzi o dziecko (nazywane w artykule *plodem*), to uznali, że należało się go pozbyć, bo po naświetleniu promieniami *Roentgena* i tak nie będzie żyć.

W niedługim czasie do tygodnika *NIE* dołączyła *Gazeta Wyborcza* oraz ilustrowany magazyn dla kobiet. Wymowa wszystkich publikacji była jednoznaczna: *dziecko nie powinno się urodzić!*

Narodziny Bartka

Wkrótce szum medialny trochę przycichł. Lekarze przestali interesować się przypadkiem p. Zofii. Operację mózgu uznano za zbyt ryzykowną. Brakowało koncepcji. Co robić dalej? Pani Zofia, czując się osobą niepożądaną, wypisała się do domu, gdzie czekała na nią trójka młodszych dzieci: 12-letnia Monika, 6-letnia Asia i półtoraczka Marta (Czwórka starszych dzieci wcześniej się wyprowadziła, próbując samodzielnego życia.). Stan p. Zofii o tyle się poprawił, że zaczęła samodzielnie chodzić (w szpitalu poruszała się na wózku). Oprócz rodziny i sąsiadów odwiedziła ją przedstawicielka *Federacji Kobiet*, ponownie proponując aborcję. Jednak p. Zofia nie wyraziła zgody. Pięć miesięcy później, w listopadzie 1995 r., w znanym już szpitalu wolskim, urodziła zdrowego chłopca, któremu nadano imię Bartłomiej. W grudniu, przed Świętami Bożego Narodzenia, odwiedziliśmy wraz z o. Palecznym rodzinę Z. i na własne oczy mogliśmy się przekonać, że p. Zofia samodzielnie krząta się po kuchni, a mały Bartek śpi grzecznie w swoim łóżeczku. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie. Trochę niepokoiło to, że lekarze prowadzący p. Zofię nie wezwali jej na badania kontrolne, żeby ustalić czy choroba nowotworowa dalej się rozwija...

Czas płynął szybko. Na początku marca rodzice zdecydowali się urządzić chrzcinny małego Bartka, zapraszając mnie i p. Zenka Józwickiego na rodziców chrzestnych. Ceremonię w parafialnym kościele pod wezwaniem św. Doroty prowadził o. Paleczny, który, wg

relacji mediów: *zmusił p. Zofię do urodzenia dziecka, a potem zupełnie się nią nie interesował...* W kościele, oprócz rodziców, zjawili się licznie zaproszeni goście. Na obiedzie w domu p. Zofii było tłoczno i wesoło. Pani Zofia była w dobrej formie. Wydawało się, że objawy choroby ustępują...

Gwałtowne pogorszenie stanu zdrowia p. Zofii przyszło dwa miesiące później. Trafiła znów do szpitala w stanie ciężkim i po kilku dniach zmarła...

– *Jak bardzo musiała cierpieć, odchodząc wśród obcych i niechętnych jej pracowników szpitala? Jak bardzo musiała cierpieć, zostawiając dzieci; szczególnie te najmłodsze: Martusię i Bartka? Co teraz będzie z dziećmi?* – Takie pytania przychodziły mi do głowy dziećmi lat temu.

Ratowanie rodziny

Po pogrzebie, który zorganizował o. Paleczny, zastanawialiśmy się czy ojciec rodziny pan Z. potrafi sobie poradzić z wychowaniem dzieci. Chcieliśmy, żeby rodzina Zofii, mimo utraty matki, ocalała. Początkowo wydawało się, że wszystko jest na dobrej drodze. Pan Z. był wspierany przez dwunastoletnią Monikę i finansowaną przez o. Palecznego. Podczas niespodziewanych wizyt zastawialiśmy dzieci nakarmione i czyste. Z czasem jednak pojawiły się niepokojące sygnały świadczące o tym, że pan Z. nie stroni od alkoholu...

Staliśmy przed alternatywą: dom dziecka albo walka z nalogiem. Ojciec Paleczny wybrał to drugie, choć pracując od tyłu lat z bezdomnymi, wiedział jak ciężko jest zerwać z piciem. Ojciec rodziny, mimo dobrych chęci, po okresach abstynencji miał w *wpadki* i *ciagi*. Do pomocy włączyły się starsze dzieci oraz dyrektor miejscowej szkoły p. Zygmunt Gburzyński z żoną. Przy okazji poznaliśmy miejscowe śro-

dowisko, na czym skorzystały też dzieci pani W. oraz borykająca się z biedą rodzina G.

W ciągu kilku lat pomagania dzieciom, mogłam osobiście stwierdzić, jak kosztowny i nieefektywny jest system pomocy społecznej. Zasiłki przyznawane rodzinom patologicznym są zwykle przepijane przez dorosłych (Być może lepszym rozwiązaniem byłyby, stosowane w niektórych krajach, bony na zakup żywności.). Pobyt w domu dziecka kosztuje kilka tysięcy miesięcznie, a wychowane tam dzieci często są nieprzystosowane społecznie. Plagą domów dziecka jest przemoc i wykorzystywanie seksualne przez silniejszych wychowanków. Tego nie chcieliśmy dla Asi, Marty i Bartka, ale pewnie by tam trafili, gdyby nie zaangażowanie państwa Gburzyńskich, którzy, będąc na miejscu, interweniowali w sytuacjach kryzysowych.

Wiele się mówi o rozpadzie więzi społecznych, o egoizmie. To prawda. Ciągłe jednak są ludzie, którzy zupełnie bezinteresownie śpieszą z pomocą innym. Dzięki nim dzieci nie przymierają głodem, mają z kim porozmawiać i poskarżyć się, że... tata lub mama znów pije. Są też bezimienni sponsorzy, którzy wysyłają paczki na święta, finansują chrzty i Pierwsze Komunie.

Na zakończenie uroczystości dzieci zaśpiewały: *Panie Jezu, nie oddamy Cię nikomu... Panie Jezu, zabierzemy Cię do domu...* Ksiądz proboszcz przypomniał rodzicom, żeby obiad był bez alkoholu...

Przed ołtarzem ustawiła się kolejka do zdjęć komunijnych. Poszliśmy razem z Bartkiem. Jego starszy brat, dwie dorosłe siostry, o. Paleczny, niżej podpisana i państwo Gburzyńscy. – *Jaka duża rodzina* – zdziwił się fotograf, ustawiając nas na stopniach.

Izabela Sikora

**Intencja II Krucjaty Modlitwy za Ojczyznę
LIPIEC 2004:
Aby wakacyjne propozycje ruchów i stowarzyszeń
objęły jak najliczniejszą rzeszę dzieci i młodzieży.**

W czasie tegorocznych święceń kapitańskich w archikatedrze poznańskiej zwróciłem uwagę na kapitana żeglugi wielkiej, a szczególnie na jego modlitewne zachowanie się. Na jego twarzy malowało się wielkie szczęście, gdy arcybiskup, w czasie święceń kapitańskich, położył ręce na głowę diakona Wojciecha Stachury. Potem widziałam łzy wzruszenia na obliczu kapitana, gdy nowo wyświęceni wraz z arcybiskupem udzieliłi swego pierwszego błogosławieństwa kapitańskiemu. Tak przeżywał człowiek morza święcenia swego ukochanego syna – przyszłego misjonarza. Potem dane mi było odwiedzić **kpt. Marka Stachurę**, który podzielił się swoimi morskimi przeżyciami religijnymi.

Bóg na morzu

– Jedenaście lat temu przyplłynęłam statkiem handlowym do Lizbony, a stąd już tak blisko do Sanktuarium Matki Boskiej Fatimskiej – wspomina kpt. Marek Stachyra. – Wraz z kolegami ze statku odbyliśmy pielgrzymkę do tego miejsca wybranego przez Maryję. Tam kupiłem sobie różaniec i od momentu spotkania z Fatimską Panią codziennie go odmawiam. W tej szczególnej modlitwie zawarta jest skrócona Ewangelia, czyli życie i nauczanie Jezusa Chrystusa. Ta modlitwa umacnia mnie w pokonywaniu codziennych trudności, a szczególnie w czasie dowodzenia statkiem. Ktoś bardzo pięknie i wymownie określił różaniec jako *ofiara 50 róż dla Matki Najświętszej*. Jeden z moich bliźnich księży wyjaśnił mi, że każde *Złoty Maryjo* w różańcu rozmięka krople po kropelce nasze twarde serca. Tylko cierpliwe i codzienne odmawianie różańca gwarantuje nam łaski Bogurodzicy.

Marek Stachyra całe swoje życie związał z morzem, a jego pracodawcą od 37 lat jest **Polska Żegluga Morska**. Zaczął od stopnia marynarza, przechodząc przez wszystkie stopnie marynarskie i oficerskie. Przed osiemnastu laty został mianowany kapitanem żeglugi wielkiej. Od dziesięciu lat dowodzi czterdziestotysięcznikiem **m/s Lage Ontario**, który jest własnością kanadyjskiego armatora. Kanadyjczyk żył sobie – podpisując umowę z PŻM, by załogę tego handlowego statku stanowili polscy marynarze, wysoko cenieni w świecie za swoją pracowitość, profesjonalizm i etykę.

Jak przeżywa Pan Kapitan wiele

miesięczne rozstanie z żoną i rodziną?

Rozstanie z łodem i najbliższymi jest wkomponowane w zawód marynarza. Jest ono trudne dla obu stron, bo wtedy kiedy dzieci najbardziej potrzebują ojca na lądzie, on musi być na morzu. Na szczęście, te rozłąki są tylko czasowe i bardzo radosne są chwile powrotu do żony, dzieci i przyjaciół. Cieszy też to, że marynarz po powrocie z rejsu ma gdzie wrócić. Rodzina dla niego to taka *latarnia morska* nieustannie wskazująca cel jego powrotu. Marynarz na dalekim morzu, a także zatrzymując się w różnych portach świata ma wewnątrz siebie świadomość, że ktoś kochany czeka na niego, modli się za niego i myśli o nim. To umacnia go w wykonywaniu pracy marynarskiej czy oficerskiej. Przypominam sobie homilię ks. abpa Mariana Przykuckiego na jednej ze Mszy św. dla marynarzy i ich rodzin, iż **PLYWANIE** czyli **PRACA NA MORZU** jest nie tyle zawodem, ile powołaniem człowieka...

Czym dla kapitana na morzu jest wiara w Chrystusa?

Wiara w Boga umacnia mnie w moim powołaniu marynarskim. Codziennie modlę się, czytam Nowy Testament i odmawiam modlitwy brewiarzowe. Na statku, wśród mojej dwudziestoosobowej załogi, bywają trudne chwile, nie brakuje też nudy w czasie długiego, monotonnego rejsu. Marynarze mają wolną wolę, więc różnie go wypełniają: picie alkoholu czy oglądaniem bezwartościowych filmów. Większość jednak moich współbraci w wolnym czasie poszukuje twórczego



foto: B. Nowak

i Bożego pokoju i spokoju w modlitwie oraz lekturze czasopism katolickich, takich jak *Milujcie się*, *Niedziela* czy *Rycerz Niepokalanej*. Morze pozwala się skupić, bo jest tu wielka cisza i można zdobyć się na dystans do swoich spraw życia ładowego. Powiem więcej: morze to okazja do szczególnych refleksji. Na lądzie niełatwo o takie skupienie, bo jest tam tyle hałasu, nieustannie włączone telewizory i radia, potok młodych ludzi z założonymi na uszach słuchawkami – uzależnionych od włączonych odtwarzaczy... To wszystko sprawia, że ludzie na lądzie nie mają czasu na przebywanie z samym sobą, na rozważanie w ciszy swej duszy, swoich problemów życiowych.

Właśnie na statku jest ten szczególny rodzaj bycia sam na sam z Bogiem, przez co jesteśmy otwarci na Słowo Boże płynące z Ewangelii.

Jak wygląda Dzień Pański, czyli niedziela na Pańskim statku?

Na jednej z dorocznych pielgrzymek ludzi morza na Jasną Górę ks. abp Tadeusz Gocłowski – odpowiedzialny z ramienia Episkopatu Polski za duszpasterstwo ludzi morza – zachęcał, aby w każdą niedzielę o godzinie 15.00 spotykać się na statku na wspólnym czytaniu Dobrej Nowiny, przeznaczoną na

ten dzień, i jej omawianiu. My tak robimy na **m/s Lage Ontario** w największej mesie. Jednak w czasie postoju w porcie zawsze prosimy duszpasterza ze **Stella Maris**, by nas odwiedził, pojedynał z Bogiem za pomocą sakramentów i odprawił Najświętszą Ofiarę. Akurat w tych portach zachodnioeuropejskich oraz w Kanadzie i USA, dokąd wpływa nasz statek, pracują polscy kapłani: księża chrystusowcy i ojcowie franciszkańscy, więc ten kontakt religijny jest bardzo bliski. Nasza załoga wykonała nawet specjalne święcenia i krzyż, by mesa na czas Mszy św. miała wygląd kaplicy. Niebawem będzie październik, poświęcony modlitwie różańcowej. Wszyscy chętni, wraz z mną, będą odmawiać różaniec.

Trzeba też pamiętać, że marynarzom, ludziom ciężkiej, fizycznej pracy, bardzo trudno mówić o Bogu, zwłaszcza że przez dziesiątki lat systemu totalitarnego nie było duszpasterstwa ludzi morza. Wielomiesięczna rozłąka nie wpływała pozytywnie na religijność marynarzy. Teraz sam Ojciec Święty Jan Paweł II wydał specjalny list zobowiązujący duchowieństwo do szczególnej opieki duszpasterskiej marynarzy, rybaków i ich rodzin. Zawsze ten papieski list czytam, gdy na mój statek przychodzą nowi marynarze.

Panie Kapitanie, czy odczuł Pan na morzu pomoc Boga?

Trzydzieści lat temu, czyli w wieku 45 lat, doznałem łaski nawrócenia. Od tego czasu działałem w neokatechumenacie, o którego powołanie zabiegał już krakowski kardynał Karol Wojtyła. Tym szczęściem powrotu do Boga dzielię się zawsze z moją *statkową rodziną*, bo jest to dla mnie łaska niepojęta, że Bóg w swoim nieskończonym miłosierdziu przebaczył mi wszystkie grzechy, przyjmując mnie jako swoje Dziecko Boże. Trzeba wiedzieć, że w środowisku marynarskim, z uwagi na odierwanie od życia ładowego, kontakt z Kościołem urywa się już po Pierwszej Komunii Świętej, co najwyżej – po Sakramencie Bierzmowania. Dlatego wskrzeszenie duszpasterstwa ludzi morza po roku 1989 uważam za

niezwykle dobroczynne. Dawniej Pismo św. było dla mnie niezrozumiałe, było czymś dalekim, nie dotyczącym współczesnych problemów ludzkości. Dopiero na drodze neokatechumenatu odkryłem, że z kart Nowego Testamentu mówi wprost do mnie Jezus Chrystus! On – Bóg i Człowiek, daje mi konkretne wskazówki, jak żyć, jak postępować, by czuć się bezpiecznym nie tylko na morzu, lecz także na lądzie. Cały czas czuję, w swoim kapitańskim dowodzeniu 40-tysięcznikiem, pomoc Bożą. Na bezkresnym oceanie, w czasie potężnych sztormów, gdy fale przekraczają wysokości 10 metrów, dopiero człowiek widzi, że jest marnym prochem wobec potęgi żywiołu, którym jest woda.

Bodaj 10 lat temu na Atlantyku Północnym był tak przepiękny sztorm, że wszystkich nas ogarnął strach. Nie byłymy pewni czy przetrwamy ten żywioł. Gdy płynęliśmy niedaleko Nowej Fundlandii w pierwszej ładowni towar się poluzował, tak że zaczął się bezwiednie przemieszczać. Wypadło skrócić statek *pod fale*. Wydałem po

lenie załogę, by o godzinie 14.00 dokonała takiego manewru. O tej godzinie prawie wszyscy znaleźli się na mostku... i w ostatniej chwili usłyszeliśmy wewnątrz głoś, by takiego zwrotu nie dokonywać. Po ośmiu godzinach sztorm ucichł i sytuacja na oceanie stała się normalna. Dopiero później dowiedziałem się od jednego z doświadczonych kapitanów, że gdybym dokonał statkiem zwrotu *pod fale*, to okręt złałby się wpół. Uważam, że dzięki Bożej Łasce w postaci szybkiej powiadomienia uratowałem statek i życie całej naszej załogi. Poszedłem potem do kabiny zmęczony, ale szczęśliwy, by na klęczkach podziękować Bogu za ten ratunek, który przyszedł z Nieba...

Patrząc na kapitańską twarz Marka Stachury, która jest pogodna, optymistyczna i ufna Bogu. On chyba bardziej, niż my na lądzie, wie że cały świat jest w rękach Stwórcy. Jest to szczególnie widoczne podczas nieznanym nam zmagania z morskimi falami i ludzkimi słabościami z dala od ładowych domów.

Bogdan Nowak

Jedyny katolicki tygodnik dla młodzieży w Polsce

- Refleksje ewangeliczne
- Sprawy wiary, świadectwa
- Problemy nastolatków
- Podróże i ciekawe miejsca
- Muzyka ● Sport ● Ekologia
- Ciekawi ludzie ● Porady

Tygodnik dostępny w prenumeracie i w parafiach na terenie całej Polski

Warunki prenumeraty wraz z przesyłką:

- Indywidualna kwartalna (16 kolejnych numerów) – 40 zł
- Indywidualna roczna (50 kolejnych numerów) – 120 zł

Prenumeraty dokonują się wskazując odpowiednią kwotę na konto wydawnictwa: Słowocypisze, Al. Prądnickie 31-027, Kraków, ul. Mikołajska 17 nr rachunkowe: 25 1060 0076 0000 3200 0000 2195

Zainteresowanym prześlemy bezpłatne egzemplarze okazowe - zadzwoni: tel./fax (0)12 431-07-24, napisz: prenumeratora@droga.com.pl

WOKÓŁ PASJI MELA GIBSONA

Jednym z pierwszych, wywodzących się z ewangelicznego ducha *dzieł kinematograficznych* była dokonana w 1902 r. we Włoszech ekranizacja *Quo vadis*. Obraz ten trwał zaledwie 10 minut, a podczas jego uroczystej premiery w Rzymie wywieszono portret Henryka Sienkiewicza i odegrano *Mazurka Dąbrowskiego*.

Ewangelia według reżyserów

Quo vadis przenoszono jeszcze na ekran kilkakrotnie, a największą sławę zdobyła wersja amerykańska z 1951 r. w reżyserii Mervyna LeRoya, z Robertem Taylorem jako Winicjuszem, Deborą Kerr jako Ligią i niedawno zmarłym Peterem Ustinovem w roli Nerona.

Klasykiem filmu o życiu i śmierci Chrystusa oraz pierwszych chrześcijan był niemy *Król królów*. Zrealizował go w 1927 r. Cecille De Mille, twórca wielu filmów opartych na wątkach biblijnych (m.in. *Dziesięciorga przykazań* i *Samsona i Dalila*). Z produkcji *Króla królów* wiążą się liczne legendy i anegdoty. Najstojniejsza z nich dotyczy aktorów odtworzących umierających na krzyżach męczenników. Aktorzy ci niezbyt wczuwali się w swoje role i przed kamerą prowadzili niefrasobliwe rozmowy, pewni, że nikt z widzów nie odgadnie ich treści z samych ruchów warg (obraz był przecież niemy). I tak było do czasu, kiedy do kina przyszła grupa głuchoniemych, którzy skrzęcali się ze śmiechem na widowni, widząc, o czym mówią ekranowi *męczennicy*. Ale był skandal!

Konkurencją dla filmów De Mille'a okazała się adaptacja powieści amerykańskiego generała Lewisa Wallace'a *Ben Hur*, dokonana w 1926 r. przez Freda Niblo. Film odniósł sukces. Był solidną ekranizacją książki, w której dramatyczne losy Żyda z arystokratycznego rodu przeplatają się z wydarzeniami z życia Jezusa. Kolejnej ekranizacji tej powieści dokonał w 1959 r. William Wyler. Jego *Ben Hur* – pełen widowiskowego rozmachu, ze słynną sekwencją wyścigu kwadrygi – otrzymał 11 *Oscarów*, co przez długie lata było ab-

solutnym rekordem. Finałowa scena – śmierć Chrystusa na krzyżu, wywoływała deszcz, który uzdrowił z trądu siostrę i matkę Judy Ben Hura, a sam bohater dostąpił wiary w Syna Bożego. Oryginalnym zabiegiem zastosowanym w obu ekranizacjach było staranne unikanie pokazywania twarzy Jezusa. Zbawiciela oglądamy od tyłu lub z oddali, co stwarza nastrój niedomówienia skąpany w klimacie Tajemnicy, bardzo sugestywny zwłaszcza w wersji Williama Wylera. Podobno takie było życzenie samego autora pierwowzoru literackiego Lewisa Wallace'a.

W dwa lata później powstała kolejna wersja *Króla Królów*. Tym razem w fotelu reżysera zasiadł Nicholas Ray, twórca głośnego *Buntownika bez powodu* z Jamesem Deanem. Podobnie jak film Cecille'a De Mille'a, dzieło Raya było pełnym historycznych uproszczeń i scenariuszowych dowolności kiczowatym obrazem *made in Hollywood*. Na przykład scena, w której Herod, Piłat i Kajfasz razem – niczym trzej wspólnicy – zastanawiają się, jakie działania podjąć w stosunku do Jezusa, może wywoływać dzisiaj jedynie śmiech. Plusem filmu była natomiast głęboko przejmująca muzyka węgierskiego kompozytora Mikłosa Rozsy, który wcześniej zilustrował muzycznie *Quo vadis* LeRoya.

W 1965 r. powstała największa z dotychczasowych

superprodukcji religijnych. *Opowieści wszech czasów* – nakręcił ją George Stevens, a w postaci Jezusa wcielił się bergmanowski aktor Max von Sydow, tworzący stonowaną, udaną kreację.

W 20 lat później zagrał on Piotra Apostoła we włoskim serialu *Quo vadis* Franco Rossiego. Dla *Opowieści wszech czasów* nie szczędzono kosztów, zaangażowano największe gwiazdy nawet do ról epizodycznych (m.in. Johna Wayne'a jako oficera rzymskiego prowadzącego Syna Bożego na Golgotę). Film miał poryjające, robiące wrażenie sceny, a jedną z nich było przywrócenie do życia Łazarza. W niezwykle delikatny sposób ukazano natomiast rolę Żydów w ukrzyżowaniu, a całkowitym nieporozumieniem okazał się szatan (w tej roli Donald Pleasence) krzyczący na dziedzińcu pałacu Piłata: *Ukrzyżuj go!* Co jak co, ale Książę Ciemności na pewno nie był zainteresowany tym, aby dzieło Zbawienia się spełniło. Zgodnie z logiką powinien więc raczej domagać się uwolnienia Jezusa. O wiele sensowniejsza i bardziej wiarygodna jest początkowa scena w *Pasji* Gibsona, w której szatan stara się odwieść Chrystusa od Jego misji. Ale do *Pasji* jeszcze dojdziemy.

Jednym z najgłośniejszych filmów



biblijnych jest *Jezus z Nazaretu*, dzieło Włocha – Franco Zeffirellego. Ten wysmakowany plastycznie obraz z 1978 r. był, zdaniem krytyków, najbardziej rzetelną i wierną Nowemu Testamentowi opowieścią o Jezusie. W nim także wystąpiła plejada gwiazd, nie tylko amerykańskich, lecz także europejskich, na przykład Olivia Hussey (Matka Boska), Anne Bancroft (Maria Magdalena), Claudia Cardinale (cudzoziółnica), Laurence Olivier (Nikodem), Anthony Quinn (Kajfasz), Rod Steiger (Piłat), Ernest Borgnine (setnik z Kafarnaum). Jezusa zagrał bardzo sugestywnie Anglik – Robert Powell, dla którego była to rola jego życia. Dzieło Zeffirellego nie siliło się na własną interpretację wydarzeń ewangelicznych. Widać w nim dużą pokorę twórcy wobec Tematu – pokorę w relacjonowaniu wydarzeń, prowadzeniu aktorów i tonowaniu bardziej drastycznych fragmentów, choćby w ukazaniu roli kapłanów żydowskich w ukrzyżowaniu (bezwzględnyemu Kajfaszowi przeciwstawiony został pełen współczucia Nikodem).

Wśród filmów o działalności Chrystusa nie brak pozycji, które wzbudziły swego czasu ożywione dyskusje, pełne emocji polemiki, a nawet gwałtowne protesty. Zaliczyć do nich można *Ewangelię według św. Mateusza* Pier Paolo Pasoliniego z 1964 r., krytykowaną za brak podniesionego nastroju i paradoksalną konwencję. Z kolei w ekranizacji *musicalu Jesus Christ Superstar* (1973 r., reż. Norman Jewison) Jezus stoi na czele *hippisowskiej* komuny, Judasz jest Murzynem, a Herod *playboyem*. W atmosferze skandalu wszedł na ekrany film *Ostatnie kuszenie Chrystusa*, zrealizowany w 1988 r. przez Martina Scorsese'a. Jezusa ukazano w nim jako człowieka z czysto ludzkimi pragnieniami i potrzebami, także miłosnym. Film w istocie mógł oburzać, zwłaszcza kiedy grający Jezusa Willem Dafoe wdzykiwał się do Harveya Keitel'a, ekranowego Judasza, i w ogóle sprawiał wrażenie osobnika mocno infantylnego. Przynajmniej na początku...

W 1972 r. Andrzej Wajda zrealizował dla telewizji RFN głośny film *Piłat*

i inni, będący nawiązaniem do jednego z wątków powieści Michaiła Bulhako-wa *Mistrz i Malgorzata*. Piłat sądził w nim Jezusa wśród surowej scenierii postnazistowskiego kompleksu gmachów w Norymberdze. Surowa jest także strona akustyczna niektórych scen, gdyż odtwórca roli Poncjusza, Jan Kreczmar, zmarł wkrótce po nakręceniu zdjęć i do kluczowych sekwencji nie zdążono nagrać postsynchronów. Jezusa – a właściwie Jeszue Ha-Nocri – zagrał Wojciech Pszoniak, a jedną z najlepszych scen tego niezbyt udanego eks-

perymentu była ta, w której Judasz (Jerzy Zelnik) otrzymuje trzydzieści srebrników – wysypujących mu się z ulicznych aparatu telefonicznego...

I wreszcie *Pasja Mela Gibsona*. Co tu dużo mówić, film Gibsona chwytą za serce, a jego absolutnym *novum* są dialogi w językach aramejskim i łacińskim. Do tej pory żaden twórca filmowy nie zdecydował się na tak ambitny eksperyment. Do tego czasu ekranowy Jezus mówił po angielsku lub po włosku.

Piotr Kitrasiewicz

Niski budżet domowy coraz częściej nie pozwala na wyjazd zagraniczny, a nawet na wakacje w polskich kurortach wypoczynkowych. Dorosli, umęczeni pracą i codziennymi obowiązkami, pozostają więc w domach, nie bardzo wiedząc, co z tym wolnym czasem zrobić – poddają się więc lenistwu. Inni natomiast już od kilku lat nawet nie wiedzą, co słowo urlop oznacza, gdyż zatrudniani w prywatnych firmach przez nieuczciwych pracodawców nie korzystają z możliwości wzięcia urlopu. Po prostu boją się zwolnienia. W tym czasie dzieci, znużone brakiem zajęć szkolnych i pozostawione bez opieki, narażone są na wiele niebezpieczeństw.

Ratunku! Wakacje!

Monika Przybysz

Wielu ludzi nie potrafi organizować sobie wypoczynku tak, aby odpocząć na wszystkich *poziomach* – fizycznym, psychicznym i duchowym. Najłatwiej się wydaje się bowiem *nicnierobienie* – sprowadza się do słów: nic mnie nie obchodzi, wszystko mi jedno. Taka postawa rodzi niebezpieczeństwo popadnięcia w lenistwo – wadę trudną do wykorzenienia. Lenistwo – jako jeden z grzechów głównych – jest przyczyną innych grzechów.

Współczesna kultura medialna promuje świat *bezwysiłkowy*, w którym wszystko się człowiekowi należy, a postawa roszczeniowości jest naturalnym zachowaniem istoty ludzkiej. Dziecko formowane w tej kulturze często oczekuje, iż rodzice zapewnią mu wszelkie niezbędne do życia środki. Dzieci coraz częściej nie liczą się z możliwościami finansowymi dorosłych i żądają atrakcyjnych wakacji. Rodzice zaś pracują niemalże *do upadłego*, aby zapewnić im *należyty* wypoczynek, sami nie

mając chwili wytchnienia.

Bazując na odwiecznych marzeniach człowieka o powrocie do utraconego raju, pełnego harmonii i szczęścia, media lansują modę na różne metody zapanowania nad światem stworzonym, szczególnie zaś lansują magię. Oglądamy reklamy, w których zmarszczki w mgnieniu oka wygładzają się pod wpływem cudownego kremu, drops zamienia dziewczynę w truskawkę... Młodym ludziom często wydaje się więc, że bez trudu można – za pomocą zaklęcia, za dotknięciem czarodziejskiej różdżki lub za pomocą innej magicznej czynności – wyczarować aktówkę pełną banknotów studolarnych, wyjechać w daleką podróż, spełnić najskrytsze marzenie, uwolnić się od obowiązku pracy...

Kontrast cudownego świata mediów i codzienności wywołuje niezadowolenie, frustrację, zniechęcenie zwykłością życia... Rodzi się ociężałość cielesna i duchowa. W lenistwie umiera bowiem zasadność dobra, jego celowość. Nastę-

puje znuzenie dobrocią, świętością, modlitwą, ascezą, gdyż nie przynoszą one spodziewanych korzyści... Pośród trudności dnia codziennego wygasa chęć i potrzeba służenia. Bogate życie duchowe nie wydaje bowiem owoców natychmiast, jak po wypowiedzeniu zaklęcia. Człowiek leniwy rezygnuje z trudu różnicowania rzeczy istotnych, ważnych od nieważnych. Cały horyzont wartościowania pokrywa gruba warstwa odrady. Lenistwo oddaje też przestrzeń duchową różnym demonom. Dlatego z takim naciskiem św. Hieronim poucza, *aby szatan znajdował was zawsze zajętych (List do Mnicha Rustyka)*.

Wakacje spędzone na *blógin* lenistwie nie przynoszą prawdziwego odpoczynku. Okazuje się, że choć fizycznie się nie zmęczeniśmy, to nie czujemy się wypoczęci. Urlop warto dobrze zaplanować i przygotować. Nie potrzeba do tego koniecznie aż tak wielu pieniędzy. Liczy się pomysłowy scenariusz pełen akcji i ciągłych zmian, ciekawe miejsce oraz przynajmniej trochę aktywności, której brakuje na co dzień. Wystarczy robić to, na co zwykle brakuje czasu, a czego pragniemy. Nawet trzydniowe zwiedzanie okolicy na pożyczonych od znajomych rowerach, z noclegami w schroniskach i jedzeniem z pudełek może stać się przygodą pełną zaskakujących wrażeń...

W zależności od tego, z kim spędzimy wolny czas, takie będą nasze wakacyjne wspomnienia i taki wypoczynek. Gdy podejmiemy decyzję o wspólnym wyjeździe z dziećmi, wówczas musimy stać się prawdziwymi twórcami. Pomysł, który przedstawimy dzieciom, a który razem z nimi stworzymy, powinien być dopracowany chociaż w jednym szczególe. Przedsięwzięcie może być również tajemnicą pomiędzy rodzicami, którzy wykażą się inwencją. Będzie to wówczas plan pełen niespodzianek i zaciekawia dzieci. Coroczne wyjazdy w to samo miejsce odbierają radość, świeżość i chęć działania. Włożony trud w planowanie zaowocuje – wakacje będą zachwycającym przeżyciem.

Monika Przybysz

ZAGROŻENIA WIARY

Wciąż powiększająca się w Polsce liczba osób poranionych duchowo przez okultyzm, magię, sekty satanistyczne, skłania do przekazania pewnych wyjaśnień a także ostrzeżeń z tego zakresu. Problemy te dotyczą bardzo wielu osób w każdym przedziale wiekowym. Kwestie ezoteryzmu czy okultyzmu stają się dziś wprost kolejnym wyzwaniem duszpasterskim. Opierając się na bazie szerokiego doświadczenia kapłanów pełniących posługę egzorcysty w Polsce jak i w krajach Europy, pragniemy zasygnalizować najczęściej notowane przypadki praktyk okultystycznych, jakie można było stwierdzić na przestrzeni ostatnich lat.

Magia i wróżbiarstwo

Najczęściej występującą formą okultyzmu, odwołującą się bezpośrednio lub pośrednio w sposób zawaolowany do działania demonicznego, jest magia, która jest nastawiona na sprawianie zamierzonych skutków. W starożytności uważano magię za zjawisko równe idoliatrii.

W ocenie chrześcijańskiej magia jest zawsze traktowana jako ciężkie wykroczenie przeciw pierwszemu przykazaniu Bożemu.

Mimo że sami zainteresowani magią próbują dzielić ją na magię *białą*, która wzywa do dobrego, i magię *czarną*, łączoną z *maleficium*, która nastawiona jest na niszczenie dobra i sprowadzanie wszelkiego zła, to fakt, że magia zawsze sięga do innych *mocy* niż moc Boża, jednoznacznie sytuują ją na pozycji przeciwnej wierze. Bywa że tzw. *dobry wróżki* czy *wróżbici* – magowie, otaczają się emblematami religijnymi, czy ostentacyjnie deklarują się jako wierni. To jednak nie zmienia. Ich praktyki pozostają nadal w sprzeczności z wiarą.

Obok form prymitywnych, magia przybiera także postaci bardzo wyrafinowane, opierając się nierzadko na osiągnięciach nauk przyrodniczych, astronomii, psychologii, psychiatrii czy na systemach filozoficznych. Stwierdzalna skuteczność magii daje jej dużą popularność. Częstościami przypadkami w kra-

jach Zachodu są konsultacje u *magów, widzających*, w sprawach dotyczących pośrednio w sposób zawaolowany do działania demonicznego, jest magia, która jest nastawiona na sprawianie zamierzonych skutków. W starożytności uważano magię za zjawisko równe idoliatrii.

Do sektora magii należą rozliczne postaci czarów, wróżbiarstwo, jak choćby *tarot*, astrologia, psychotronika, wadhadlarstwo, guślarstwo, krystalomancja (kule wróżbiarskie).

Magia w Polsce posiada zorganizowaną sieć publikacji i reklamy. Do pism z tej dziedziny należą: *Wróżka, Nieznany świat, Czwarty wymiar, Szaman, Uzdraviacz, Era wodnika* (związane z sektami *New Age*), *Trzecie oko*. Magia jest propagowana na targach ezoterycznych; jest szerzona poprzez kolportaż talizmanów, znaków z obrzędów okultystycznych. Do takich zaliczane są także tzw. *pamiętki* z okazji I Komunii (!), które faktycznie są okultystycznym narzędziem szczególnie intensywnego niszczenia dobra.

Magia, choć niekiedy zapewnia pomysłność materialną, zawsze prowadzi do zniszczenia życia religijnego, otępienia wrażliwości moralnej, zatraty zdrowego rozsądku, a co za tym idzie – ładu życia.

ks. Tomasz Kaczmarek

103. PIELGRZYMKI ZAGRANICZNA OJCA ŚWIĘTEGO

Chrystus to jedyna Droga!

Można było się spodziewać dosyć chłodnego powitania przez Szwajcarów. Na trasie przejazdu papieskiej kolumny praktycznie nie było nikogo. Nie było żadnego napisu na cześć i powitanie Wielkiego Pielgrzyma. Oficjalne powitanie odbyło się w jednym z hangarów lotniska. Prezydent Szwajcarii Joseph Deiss, witając Ojca Świętego, wspominał w swoim przemówieniu ostatnią wizytę w Szwajcarii, którą odbył dwadzieścia lat temu: – *Od tamtego czasu relacje pomiędzy naszym krajem a Stołicą Apostolską uległy zbliżeniu* – podkreślił. Nawiązując do głównego spotkania z młodzieżą, powiedział, że *mlodzieży bardzo potrzebują dialogu i dyskusji o sprawach dotyczących ludzkich wartości*... Jan Paweł II doskonale zna aktualną sytuację w materializowanej Szwajcarii: podzielonej wyznaniowo i, jak sam mówił w przemówieniu powitanym – *Szwajcarii będącej skrzyżowaniem języków i kultur*...

Papież w przemówieniu powitalnym na lotnisku mówił m.in.: – *Głównym motywem mojej pielgrzymki apostolskiej jest spotkanie z młodzieżą Szwajcarii*... *Drodzy mieszkańcy Szwajcarii, pozwólcie, że przybywam, aby zapukać do każdego z Waszych serc, że pragnę wejść do Waszych domów, w miejsca Waszych codzienności. Wam wszystkim pragnę na nowo przynieść radosną nowinę ewangeliczną Chrystusa Zmartwychwstałego. Proszę z całego serca Boga o potrzebne łaski dla całego kraju. Boże, błogosław Szwajcarię*...

Bezpośrednio po powitaniu Ojciec Święty udał się do jednego z domów opieki nad ludźmi sędziwymi, gdzie znajduje się 200 osób, którymi opiekują się siostry zakonne. Tam też spożył obiad. Po godzinie osiemnastej w hali lodowiska *Bern Arena* rozpoczęło się spotka-

nie z młodzieżą. Przybyło na nie również ponad dwa i pół tysiąca młodych ludzi z Polski. Przy powitaniu owajcom nie było końca. Pojawili się także flagi polskie oraz wielki napis, który przyniosła młodzież diecezji Lugano: *Chrystus to nie jedna z dróg, ale jedyna Droga*.

Przemówienie do młodych Ojciec Święty wygłosił po francusku, niemiecku i po włosku. Powiedział: – *Nie bójcie się drodzy młodzi! Nie bójcie się spotkać Jezusa. Poszukujcie Go, czytając o Nim w Piśmie Świętym, w modlitwie osobistej i wspólnotowej, poszukujcie Go w Eucharystii. Poszukujcie w sakramencie pokuty. Szukajcie Go w Kościele, gdzie objawia się w różnych grupach parafialnych, wspólnotach, ruchach. Szukajcie Jego Oblicza w cierpiącej twarzy brata potrzebującego... I ja kiedyś szukałem Go nieustannie, aby nadać sens mojemu życiu. Znalazłem wszystko w Chryście*... Młodzież przeżywała przemówienie wołając: *Janie Pawle! Kochamy Cię!*

Podczas drugiego dnia pobytu na ziemi Helwetów Jan Paweł II odprawił Mszę św. na błoniach Allmend w Bernie. W homilii nawiązał do Uroczystości Trójcy Świętej. Podziękował wszyst-

kim biskupom za zaproszenie. Słowa wdzięczności skierował także do zebranych młodzieży: – *W szczególny sposób, z całego serca, pragnę pozdrowić młodzież katolicką Szwajcarii, którą wczoraj mogłem spotkać w Bern Arena, gdzie razem słyszeliśmy wezwanie Jezusa. Drodzy, wiecie dobrze, że Papież Was wszystkich bardzo kocha, wspiera Was codzienną modlitwą, liczy na Waszą współpracę dla Ewangelii i wspiera w Waszym pielgrzymowaniu, w życiu chrześcijańskim. Najdrożsi, proszę Boga, abym mógł być pośród Was świadkiem nadziei, tej nadziei, która nie zawodzi dlatego, że zbudowana jest na fundamencie miłości Boga*...

Ostatnią grupą, z którą spotkał się Ojciec Święty w Szwajcarii była grupa około trzystu członków stowarzyszenia byłych gwardystów, którzy służyli Ojcu Świętemu. Gwardia szwajcarska została założona w 1506 r. przez papieża Juliusza II. Obecnie liczy 110 osób. Czuwa ona nad bezpieczeństwem papieża.

Pomimo oficjalnego i chłodnego przyjęcia na początku wizyty, Jan Paweł II zrobił wielkie wrażenie na zebranych podczas liturgii i spotkania z wiernymi. Trafilo do serc i umysłów wielu osób. Wciąż fascynuje ludzi, i to nie tylko młodych. Są także formalne wyniki tej papieskiej wizyty: ultralaska Szwajcaria zdecydowała się mianować swego ambasadora przy Stolicy Apostolskiej.

ks. Jarosław Cielecki



for. G. Galińska

MICHALICI NA DOMINIKANIE I NA ANTYLACH

Delegaturę Karaibską Zgromadzenia Świętego Michała Archanioła tworzą placówki misyjne znajdujące się w Republice Dominikany oraz na terytoriach zamorskich Królestwa Holandii: na wyspie Arubie i należącej do Antyli Holenderskich wyspie Curaçao.

Markiewiczowski charyzmat na Karaibach

Historia Zgromadzenia na Karaibach rozpoczyna się 18 sierpnia 1983 r., kiedy do Republiki Dominikany przybyli pierwsi klerycy, a po roku dołączył do nich pierwszy ksiądz. Oficjalnie pierwsza placówka została przyjęta 10 czerwca 1984 roku.

W kilka lat później, 11 stycznia 1988 r., Zgromadzenie podjęło pracę na Antylach Holenderskich – na wyspie Bonaire. Rok później dotarli kolejni członkowie Zgromadzenia i rozpoczęli misję na wyspie Curaçao. W 2003 r. Zgromadzenie Św. Michała Archanioła zrezygnowało z pracy na wyspie Bonaire i podjęło działalność na wyspie Aruba.

Pierwszy okres pracy misyjnej to czas zmagania się z ogromnymi trudnościami: zapewnieniem podstaw bytowych, zorganizowaniem struktur pracy oraz brakami kadrowymi. Jednak wraz z rozwojem macierzystej placówki misyjnej w Republice Dominikany oraz z udzieleniem sakramentu kapłaństwa większości przybyłych z Polski współpracowników, a także z kanonicznym erygowaniem domu zakonnego w Los Alcarrizos, pozycja tworzonej wspólnoty ustabilizowała się.

Karaibską Delegaturę Zgromadzenia Św. Michała Archanioła stopniowo zaczęła wchodzić w fazę dynamicznego rozwoju. Została ona zapoczątkowana w 1996 r. i miała na celu poszerzenie działalności duszpasterskiej o nowe diecezje w Republice Dominikany. Z macierzystej parafii św. Antoniego z Padwy wyodrębniły się nowe parafie. Rozpoczęcie pracy w nowych diecezjach i przyrost placówek duszpasterskich wymagał powiększenia stanu li-

czebnego duszpasterzy, w rezultacie w ostatnich latach przybyli do pracy w Delegaturze nowi księża z Polski.

Kilkunastoletnia praca duszpasterska Zgromadzenia w Republice Dominikany przyniosła wiele owoców. Najistotniejszym dla wspólnoty rezultatem naszej pracy jest zaszczenie ducha i charyzmatu Zgromadzenia wśród miejscowej ludności. W rezultacie otrzymano święcenia kapłańskie czterech współpracowników narodowości dominikańskiej. Pierwsze święcenia odbyły się 15 lipca 1995 r., ostatnie zaś 16 sierpnia 2003 r.

Od początku pracy misyjnej Zgromadzenie podjęło działalność edukacyjno-wychowawczą i opiekuńczą. Przejęty przez nas, w pierwszym roku pracy, drewniany barak, który służył jako szkoła parafialna dla kilku dziesięciu uczniów, jest obecnie nowoczesną szkołą podstawową, zawodową i ogólnokształcącą, w której kształcą się ponad 2 tys. dzieci i młodzieży. Dla najbardziej potrzebujących z nich fundujemy stypendia (około stu rocznie). Budowniczym, głównym organizatorem i dyrektorem szkoły jest ks. Henryk Słoma CSMA, który od początku pobytu w Republice Dominikany rozwija pieczołowicie ten aspekt pracy

Zgromadzenia. Nadzieje wiążemy także z nowymi przedsięwzięciami opiekuńczo-wychowawczymi w Juncalito. Wybudowana tam została szkoła zawodowa oraz internat. Funkcjonuje już warsztat stolarski oraz piekarnia, która jest jedynym źródłem zaopatrzenia w chleb dla ludności wiejskiej, mieszkającej w okolicznych górach. Organizatorem i koordynatorem tych przedsięwzięć jest ks. Jan Drabczak CSMA.

Posiadając skromne możliwości, próbujemy pomagać opuszczonym dzieciom. Od kilku miesięcy prowadzi działalność przytułek dla czyszcibutów



for. W. Szpila CSMA

– osieroconych dzieci ulicy – zarabiających na życie czyszczeniem butów. W schronisku, w chwili obecnej, dwadzieścioro dzieci otrzymuje regularnie posiłki.

Od kilku lat Delegatura Karaibską rozwija skromną działalność wydawniczą mającą na celu popularyzowanie idei Ojca Założyciela Sługi Bożego ks. Bronisława Markiewicza oraz upowszechnienie dostępu do literatury religijnej w językach społeczności, w których pracujemy.

W Republice Dominikany kleryk Gahstón Saint-Fleur, pochodzący z Haiti, dokonał tłumaczenia z języka francuskiego na język hiszpański książki **Marii Winowskiej Droga Krzyżowa Karczowników**. Praca nad książką jest na etapie korekty wydawniczej. Kleryk Edward Gilbert Rivera (narodowości dominikańskiej) opracował kilka broszur na temat genezy, celów oraz pracy Zgromadzenia, które zostały wydane i są rozpowszechniane we wszystkich naszych parafiach.

Na Antylach Holenderskich, w związku z brakiem literatury religijnej w języku *papiamento*, wydaliśmy kilkanaście publikacji o charakterze duszpastersko-katechetycznym. W przygotowaniu jest wydanie dzieła **Tomasza a Kempisa O naśladowaniu Chrystusa**. Dzieło to zostało przetłumaczone z języka oryginalnego i wydane po raz pierwszy przez zakon dominikanów w 1938 roku. Obecne wydanie, uwzględniające zmiany, które zaszły w języku *papiamento* ma na celu upowszechnienie dostępu do tego ważnego dzieła. Należałoby zaznaczyć, że jego pierwsze wydanie jest nieosiągalne, a ponadto napisane w archaicznym *papiamento*, byłoby obecnie mało zrozumiałe.

Misja Delegatury Karaibskiej nie jest pozbawiona jednak trudności i wielu potrzeb. W naszym, jedynym jak dotąd, domu zakonnym w Los Alcarrizos, który jednocześnie pełni funkcję domu formacyjnego, nieustannie odczuwa się brak osoby odpowiedzialnej za formację, która mogłaby poświęcić się pracy z seminarzystami. Mimo, że w domu zakonnym przebywa stale kilku klery-



for. W. Szpila CSMA

ków nadal nie jest możliwe, z uwagi na braki kadrowe, nadanie mu charakteru formacyjnego. Wpływa to bardzo niekorzystnie na rozwój wspólnoty. Ogrom obowiązków zmusza współpracowników do łączenia bardzo pracochłonnej działalności duszpasterskiej z potrzebami formacyjnymi i wspólnotowymi. Warto zaznaczyć, że każdy ksiądz obsługuje od dwudziestu do trzydziestu miejscowości. Potrzebni są zatem kapłani z kraju!

Nasza wspólnota odczuwa konieczność ciągłej formacji. Istnieje nagła potrzeba umożliwienia podjęcia specjalistycznych studiów nowo wyświęconym księżom, a także stworzenia możliwości udziału w kursach o tematyce teologicznej, katechetycznej i biblijnej pracującym już wiele lat misjonarzom.

Stale borykamy się również z potrzebami finansowymi. Brak wystarczających środków materialnych uniemożliwia nam przyjęcie wszystkich zgłaszających się do nas aspirantów. Niejednokrotnie nie możemy spełnić zadań duszpasterskich z uwagi na brak środków lokomocji.

W okresie ostatnich sześciu lat obaliśmy dziesięć nowych parafii. Zostało wyświęconych trzech księży narodowości dominikańskiej. Z Polski przybyło czterech księży i jeden brat zakonny. Śluby zakonne złożył jeden kleryk. Do wspólnoty dołączył też jeden seminarzysta.

Skład personalny Delegatury Karaibskiej tworzy obecnie 17 księży, jeden brat, dwóch kleryków i jeden seminarzysta. Bogactwem i cechą charakterystyczną naszej wspólnoty jest jej wielonarodowy charakter. Jest tu dwunastu współpracowników z Polski, pięciu z Republiki Dominikany oraz po jednym z Haiti, Paragwaju i Salwadoru.

Pracujemy w dziewiętnastu parafiach, na terenie czterech diecezji. Głównym Słowem Bożym. Otaczamy opieką duszpasterską mieszkańców ponad stu miejscowości.

W omawianym okresie rozpoczęły działalność wymienione powyżej: szkoła zawodowa, internat oraz przytułek dla czyszcibutów. Zgromadzenie nabyło na własność kilkunastohektarowy obszar gruntowy, na którym rozpoczęta już została budowa nowego domu zakonnego i domu rekolekcyjnego.

Potrzeby religijne i uwarunkowania społeczne Republiki Dominikany (zwłaszcza duża liczba opuszczonych dzieci oraz wielkie szanse na przeszczenie charyzmatu i rozwój Zgromadzenia, czego dowodem są już cztery zrealizowane powołania) stwarzają wielkie możliwości oraz wymuszają konieczność większego zwrócenia uwagi na ten region i zainwestowania wszelkich możliwych sił i środków w przyszłość Zgromadzenia na Karaibach.

ks. Wiesław Szpila CSMA

Większość z nas słyszała zapewne o spotkaniu młodych nad Lednicą i w Częstochowie. Wielu było jednak zaskoczonych, kiedy Ojciec Święty przy powitaniu młodzieży podczas **Świątowych Dni Młodzieży** w roku 2002, które odbywały się w Toronto, w sposób szczególny pozdrowił uczestników **spotkania w Wadowicach**, zaznaczając, że modlą się tam chrześcijanie różnych obrządków. Zbyt skąpe relacje w mediach z tego spotkania nie pozwoliły zorientować się, co tak naprawdę działo się w rodzinnym mieście Papieża.

Chcemy zobaczyć Jezusa!

Spotkania młodzieży odbywają się w Wadowicach od roku 2000. Wówczas członkowie wspólnoty **Emmanuel** postanowili uczynić z miasta miejsce, do którego mogliby co roku przyjeżdżać młodzi ludzie, aby wspólnie się modlić i poznawać. By tu, gdzie przed laty Bóg dokonał niezwykłej przemiany pewnego młodzieńca, spróbować na nowo odkryć Chrystusa. Po pierwszym spotkaniu wszyscy jego uczestnicy wyruszyli specjalnym pociągami prosto do Rzymu, na **Jubileusz Młodych**. Następne forum też było pamiętne – młodzież uczestniczyła w warsztatach, modlitwach... i w walce z powodzią.

Pierwsze Międzynarodowe Forum Młodych w Wadowicach stanowiło przygotowanie do **XV Świątowych Dni Młodzieży** obchodzonych z Janem Pawłem II w Rzymie. Każde forum jest też przygotowaniem do kolejnego **Świątowego Dnia Młodzieży**. A przede wszystkim, co podkreślają jego organizatorzy, zaproszeniem do pogłębiania własnej relacji z Chrystusem, czerpania z dorobku Kościoła i budowania Jego jedności we własnych rodzinach i środowiskach. To również okazja do dzielenia się wiarą oraz ubogacania innych i siebie poprzez świadectwo. Forum jest także czasem zdobywania odwagi do głoszenia Chrystusa w świecie.

Dla wielu młodych spotkanie w Wadowicach to pierwsze doświadczenie żywego Kościoła: młodego, radosnego, ale także skupionego na modlitwie i otwartego na dialog. Każdego dnia młodzi mają możliwość przystąpienia do sakramentu pojednania, trwania

przed Jezusem podczas adoracji Eucharystycznej i codziennego uczestnictwa we Mszy Świętej. Spotkanie jest więc czasem odkrywania na nowo bogactwa sakramentów Kościoła, doświadczania, że to sam Bóg przychodzi w sakramentalnej posłudze kapłanów.

– *Na forum bardzo mi się spodobała adoracja. Właśnie od pierwszego przyjazdu do Wadowic polubiłam adorację. Teraz często wystarczy mi tylko, że sobie patrzę na Pana Jezusa, ukrytego w Najświętszym Sakramencie i odczuwam, jak On ogarnia mnie swoją miłością. To, co otrzymałam podczas zeszłorocznego forum, co przeżyłam – wszystkie konferencje, warsztaty, adoracje, to wszystko bardzo pomagało mi w ciągu roku w różnych sytuacjach. Bardzo cieszę się z tego, że z tak wielką rzeszą młodych ludzi mogę wysławiać Pana Jezusa – wspomina Wiktoria z Baru na Ukrainie.*

Chcemy zobaczyć Jezusa! (J 12, 21) to tytuł ośrzedzia Ojca Świętego na **XIX Świątowy Dzień Młodzieży**. Papież zachęca w nim młodych ludzi do obudzenia w sobie pragnienia ujrzenia Jezusa: *Wasze poszukiwania niech nie będą kierowane prostą ciekawością intelektualną, choć i ta sama w sobie jest już wartością, lecz niech będą pobudzone przede wszystkim wewnętrzną koniecznością znalezienia odpowiedzi na pytanie o sens waszego życia. Jak ewangeliczny bogaty młodzieniec szukajcie Je-*

zusa, by postawić Mu pytanie: Co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne? (Mk 10, 17).

Chcemy zobaczyć Jezusa! – to również hasło tegorocznego spotkania w Wadowicach. Jest ono skierowane do wszystkich, którzy zastanawiają się, czy Jezus nie jest tylko legendą, mitem. Warto też dodać, że tematy wszystkich konferencji mają dać młodym ludziom wskazówki i być pomocą w rozważeniu słów Jana Pawła II. Tegoroczne forum jest zaproszeniem do pogłębiania własnej relacji z Chrystusem: poprzez zrozumienie Jego nauki i odnalezienie Go w modlitwie, drugim człowieku i otaczającym świecie. Organizatorzy chcą rozważyć z uczestnikami kilka istotnych, a drażących chyba każdego, pytań: *czy szukanie szczęścia i prawdziwej miłości ma związek z Bogiem? Czy na modlitwie spotykamy Jezusa? I wreszcie najistotniejsze pytanie: czy i dlaczego Bóg sam wystarczy?*

Oprócz tych ciekawych i ważkich konferencji podczas spotkania, jak co roku będzie dużo radości, wspólnych śpiewów, ciekawych warsztatów i nieprzerwana adoracja Najświętszego Sakramentu.

Świadectwa uczestników dotychczasowych spotkań pokazują, iż pobyt w Wadowicach jest często ważnym momentem w ich duchowym rozwoju. Umocnienie w wierze, nabranie przekonania o odpowiedzialności za własne życie pobudza wielu młodych ludzi do głoszenia Chrystusa drugiemu człowiekowi i inspiruje do aktywności w Kościele i świecie.

Tegoroczne forum odbędzie się w dniach 25 – 30 lipca, oczywiście w Wadowicach. Na forum zaproszeni są także wszyscy ci, którzy nie poznali jeszcze Pana Boga i Jego Miłości, ci, którzy zadają sobie i innym trudne pytania, którzy szukają sensu swojego życia.

Marta Damasiewicz

Informacje szczegółowe na temat **forum w Wadowicach** można uzyskać w sekretariacie **wspólnoty Emmanuel**, ul. Barska 2, 02-315 Warszawa, tel. (0-22) 668 70 84 lub na stronach internetowych: www.emmanuel-info.com/pl oraz www.forum.wadowice.iap.pl

MEDIA A PROCES WYCHOWAWCZY (4)

Zniekształcanie świata

Telewizja zaspokaja dwójakiego rodzaju potrzeby widza: potrzebę ucieczki od życia codziennego w świat fantazji oraz potrzebę orientacji w zdarzeniach i problemach świata realnego. W świat fantazji uciekają osoby, które pozostają w konflikcie z otoczeniem, nie posiadają bliskich sobie przyjaciół, są samotne. Nie mogą znaleźć satysfakcji w relacjach międzyludzkich, uciekają od przynajmniej ich problemów w świat fantazji, czyli do przeżyć zastępczych, jakich dostarczają im środki audiowizualne. Jaki może być skutek tej ucieczki? Odbiorca rozbudza wyobraźnię w dziedzinach szkodliwych dla psychiki (przemoc, wybujały erotyzm); świat realny wydaje się mu mniej ciekawy od fikcji widowiskowej i stąd mniej wartościowy; informacje, które odbiera mogą być ilościowo i jakościowo niedostosowane do niego; ich ogrom może budzić zniechęcenie, a zbyt niski ich poziom może rozleniwiać i obniżać sprawność umysłową odbiorcy.

Gdy uwzględnimy wychowawczy wpływ telewizji i innych środków społecznego przekazu, doniosłego znaczenia nabierają treści i idee, ukazujące się na ekranach telewizorów w polskich domach. Świat tam kreowany – niestety – niewiele ma wspólnego ze światem rzeczywistym: telewizja lansuje bowiem świat ekskluzywny, ładny, wygodny, pełen różnych dobrych doznań i emocji. Jest to świat idealny, który nigdzie nie istnieje. Świat rzeczywisty, wobec telewizyjnego obrazu, jest nudny, szary i zbyt trudny. Stając przed wyborem – człowiek młody wybiera ucieczkę od rzeczywistości ku kolorowemu kłamstwu. Podobnie dezinformujące działa prezentowanie świata w krzywym zwierciadle – kreowanie fałszywej rzeczywistości poprzez wyolbrzymianie patologii społecznych, nadmierne

ekspozowanie scen gwałtu, przemocy i seksualizmu, przy równoczesnym pominięciu gruntownej analizy sytuacji społecznej i przekonujących przykładów zapobiegania zjawiskom negatywnym. Telewizja pełni w tych wypadkach funkcję dezinformacyjną, zniekształca odbiór świata.

Don Bridge, były dyrektor wydawniczy w Rochester (stan Nowy Jork) dzienników **Times-Union** i **Democrat and Chronicle**, sformułował wiele zarzutów stawianych przez odbiorców mass mediów redakcyjnym. Wymienił m.in.:

- brak redakcyjnej równowagi w doborze przekazywanych treści, poświęcanie również dużo miejsca i czasu błahostkom oraz sprawom ważnym;
- zgoda na niską jakość merytoryczną komentarzy i niską jakość techniczną przekazywanego materiału;
- faworyzowanie informacji o przestępstwach;
- obsesja na punkcie błahostek;
- przewartościowywanie i niedowartościowywanie informacji;
- tendencyjne tytuły informacji;
- monopolistyczne praktyki, zwłaszcza na obszarze, na którym brak jest konkurencji;
- zamieszczanie zbyt wielu ogłoszeń, reklam budzących zastrzeżenia pod naciskiem ogłoszeniodawcy.

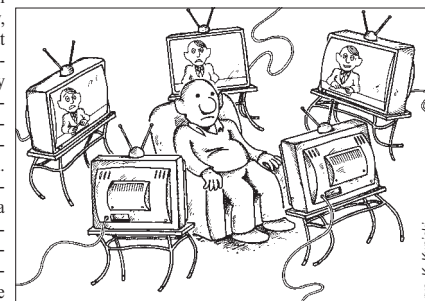
Wszystkie te praktyki w większym lub mniejszym stopniu są źródłem dez-

informacji.

Proces dezinformacji jest szczególnie niebezpieczny dla dzieci. One bardzo wolno budują granicę między rzeczywistością a imaginacją, dopiero uczą się odróżniać rzeczywistość od fikcji. Telewizja znacznie utrudnia tę naukę, zniekształcając u dziecka percepcję realności. Dziecko napotyka na naturalną trudność w różnieniu teraźniejszości i przeszłości, fikcji i rzeczywistości, reagując na jedno i drugie z podobną wrażliwością i uwagą. Z telewizją wiąże się też nieskoordynowany, chaotyczny przepływ informacji. W każdej grupie społecznej istnieje dwustopniowy mechanizm zabezpieczeń przed zbędnymi informacjami. Pierwszy polega na eliminowaniu pewnych treści lub ograniczeniu ich obiegu (np. mechanizm tabu), lub na stopniowaniu treści według wieku, np. w programach szkolnych. Drugi – weryfikacji zbędnych treści w momencie odbioru (mity, wierzenia religijne, akceptowany światopogląd – informacja niezgodna z posiadanym obrazem świata jest natychmiast klasyfikowana jako fałszywa i odrzucana).

Wykorzystanie elektronicznych technologii do społecznego przekazu przyczyniło się do osłabienia tradycyjnych mechanizmów weryfikacji informacji, nie stworzyło przy tym nowych mechanizmów. W miarę zagęszczania źródeł przekazu odbiorcy zdobywają coraz więcej informacji, a więc mogą szerzej i pełniej zapoznawać się z odmieniami kulturowymi, poglądami i postawami. Zwielokrotnienie źródeł informacji nie tylko pomaga *lepiej poznać świat*, lecz także prowadzi do zakwestionowania własnych, dotychczas oczywistych poglądów i przeświadczeń. W przypadku dziecka, które nie ma wystarczających podstaw i możliwości krytycznego ugruntowania własnego obrazu świata, prowadzić to może do ideowego chaosu. Wyraża się on, m.in. ucieczką w świat biernych doznań, barwnych mirażów, marzeń, które mogą nadać wypaczony kierunek rozwojowi, dążeniem i celom dziecka.

ks. Andrzej Zwoliński



rys. K. Kumiński

Po kilkudziesięciu latach Wisła wraca do łask i życia. Niestety, nie za sprawą polskiego armatora, tylko niemieckiego *Frederic Chopin*. Luksusowy statek wycieczkowy rozpoczął regularne rejsy po rzece. Na pokładzie, poza marynarzami i gośćmi, znalazło się jeszcze miejsce dla pięciu Polaków: jednego jako pilota, reszty jako obsługi. I śmiesznie jakoś, i strasznie. Przecież rejsy po Wiśle były kiedyś swego rodzaju specjalnością stolicy. A ostatni tzw. *bocznokołowiec* (zbudowany jeszcze przed II wojną światową ze względu na mniejsze zanurzenie) został pocięty na żyłki zaraz po przeprowadzonym generalnym remoncie, kiedy tow. Edward Gierek otwierał Trasę Łazienkowską. Ot tak, żeby towarzyszy radzieckich nie smucić...

Flaggeparade nad Wisłą

Do stałych atrakcji przedwojennej Warszawy należały rejsy po Wiśle statkami pasażerskimi. Statków było kilka-naście. Pływały nie tylko na tradycyjnej trasie do Młocin i na Bielany, lecz także do Kazimierza, Włocławka, Torunia, a nawet Gdańska. Podobną trasą wyruszył niedawno *Frederic Chopin*, który zawinął między innymi do Płocka. Luksusowy statek rozpoczął tym samym regulame połączenie na trasie między Warszawą (Modlinem) a Gdańskiem.

Nie jest niczym nagannym, że po prawie 30 latach Wisła znowu odżyła i staje się szlakiem spławnym. Szkoda tylko, że nie dla Polaków. W pierwszym bowiem rejsie na pokładzie *Frederica Chopina* znajdowało się ponad 60 turystów: Amerykanie, Brytyjczycy i Niemcy.

Ważnym powodem, dla którego rodacy nie pchają się na tego typu wycieczkę, są ceny. Najtańszy bilet za 7-dniowy rejs kosztuje 950 euro. Najdroższy – 4 tys. euro – za rejs 14-dniowy. W przeliczeniu na złotówki wynosi to ok. 4750 zł za tydzień i ok. 20 tys. za 14 dni. To dostateczna bariera, żeby nikt niepowołany nie wsiał na pokład.

Niemiecki statek ma przyplwać do Płocka około 20 razy w sezonie od kwietnia do listopada, z przerwą na lipiec i sierpień, kiedy stan rzeki będzie zbyt niski. Takie zaangażowanie cieszy. Okazuje się bowiem, że istnieje realna możliwość wykorzystania królowej polskich rzek. Już oczami wyobraźni widać nie tylko przewozy osobowe, lecz także towarowe. Tysią-

ce ton ze Śląska płynące do Gdańska i w drugą stronę. Odbudowanie Kanału Bydgoskiego połączyłoby Wisłę z Odrą, a przez to ze Szczecinem. W drugą stronę można by pomyśleć o odblokowaniu kanału Augustowskiego i połączeniu z Dnieprem. Ale do tego konieczna jest odbudowa zaniedbanych i zasypianych systemów kanałów i przepustnic.

Na początek można by zainwestować odpowiednie pieniądze w uregulowanie Wisły. Są przecież plany wykorzystania kamieni i fesyzy, czyli produktów jak najbardziej naturalnych, do wzmocnienia brzegów. Można by również pomyśleć o flotyli pogłębiarek, utrzymującej pas spławny na rzece. Można by ją w końcu zarybić, przywrócić jej należne miejsce. Można by odbudować porty rzeczne w większych miastach, i wszędzie przy tych inwestycjach dawać ludziom tak potrzebną pracę.

Można by, ale żeby tak się stało, trze-

ba przedtem odpowiedzieć na parę pytań: kto i dlaczego zezwolił na sprzedaż terenów np. Portu Praskiego? Czy miasta nad Wisłą będą otrzymywały od niemieckiego armatora jakąś gratyfikację pieniężną za udostępnienie miejsc postojowych przy kejach? Gdzie będzie w takim razie kolejny port rzeczny stolicy? Kiedy wzmocniona zostanie policja rzeczna? Itp, itd. Należy również znaleźć odpowiedź na najważniejsze pytanie: kiedy odpowiedzialni za takie zaniedbania staną przed sądem?

Frederic Chopin zbudowany został dwa lata temu w niemieckiej stoczni pod Magdeburgiem. Z zewnątrz nie różni się wiele od tego typu jednostek pływających. Jest długi na 83 metry i szeroki na 9 i pół metra. Zanurza się nieco więcej niż metr. Płynie średnio z prędkością 17 km/h. Niemiecy organizatorzy rejsów marzą jeszcze o wycieczkach z Gdańska do Krakowa...

Grzegorz Guttman



Kiedy prognoza zapowiada wybuch wulkanu czy przyjście huraganu, zjawiska, które w najlepszym razie, zniszczą miszkańcom dorobek ich życia, ludzie mają jedno wyjście – szukać schronienia lub uciekać, biorąc ze sobą, co się da.

To także

Teraz prognozy w postaci sondaży przedwyborczych zapowiadają zwycięstwo polityka, którego władza (jeżeli ów polityk spełni swe zapowiedzi-obietnice) będzie tornadem albo trzęsieniem ziemi. Tornado, powódź, wybuch wulkanu itd. powodowane są przez ślepe, głuche i niezające miłosierdzia siły natury, na które nie ma rady.

W warunkach demokracji, inaczej niż w przypadku najazdu obecnej siły, czy

też w wypadku takiej rewolucji, w wyniku której władzę chwytą gang zbirów, kłęska polityczna powodowana jest, jak się przynajmniej zdaje, przez widzących, słyszących, rozumujących, znających miłosierdzie wyborców. Nikt nie będzie mógł powiedzieć, że oto kraj został zagarnięty np. przez carski lub bolszewicki imperializm, który osadził kolaborancką władzę. Będziemy sami sobie winni, a władza będzie nasza.

A jednak, wbrew pozorom, różnica pomiędzy kłęską naturalną a kłęską polityczną, spowodowaną przez akt wolnej elekcji w demokratycznym kraju, nie

jest bynajmniej taka duża. Nasza natura ludzka – to także kłęska naturalna.

Jeżeli można by głosować, czy wulkan wybuchi nie czy też nie wybuchi, to znajdują się i takie kraje, tacy wyborcy, takie momenty albo klimaty historyczne, w których większość wyborców do urny wrzuci kartkę z napisem **Tak**.

Może zniszczenie nie dotknie mego domku i roweru, ale rozwali willę sąsiada (*złodzieja*?) i jego *BMW*? Może ukarze drani, a mnie nie zrobi krzywdy?

Ludzkie istoty są aktywne. Z natury muszą działać. Jeżeli w swoim kraju nie mamy możliwości budowania, albo budować nie potrafimy, to chcemy chociaż niszczyć, by został po nas jakiś ślad.

Jerzy Trammer

Podróż z biletem w jedną stronę. Jeśli nawet wrócisz, to wciąż będziesz pamiętał. Ameryka pozostaje w człowieku. Bez względu na to, czy ją kochasz, czy jej nienawidzisz...

Amerykański sen

Stany Zjednoczone to kraj skrajności. Codziennie ważą się w nich losy milionów ludzi. Jedni wygrują na loterii, inni zamieszają brudne dzielnice i ich życie można porównać do horroru. Jest to chyba najbardziej kontrowersyjne państwo ostatnich lat. Jednak wciąż wzbogaca się ono o wiele ambitnych i utalentowanych osób. Według ostatnich raportów dowiadujemy się, że 60 proc. młodych Polaków chce wyjechać na Zachód. Kuszeni dużymi możliwościami, wierzący w przyszły sukces zjawiają się w Ameryce. I co dalej? Czy amerykański sen to tylko mit?

Żeby poznać prawdę o tym kraju Busha, po prostu trzeba tam być. Oddychać amerykańskim powietrzem, zwiedzać miasta, chodzić ulicami, rozmawiać z ludźmi. Wtedy tylko można zrozumieć, co to znaczy znaleźć się w pepku świata.

Ameryka robi ogromne wrażenie. Jednak należy być ostrożnym, gdyż bardzo łatwo się w niej zatracić. Każdego Polaka, który znajdzie się w tym kraju, podnieca inność – inność kultury, obyczajów i zachowań. Kraj marzeń? – Z pewnością tak. Sęk w tym, jak ro-

zumiemy marzenie w wydaniu amerykańskim.

Większość młodych ludzi szuka w Stanach Zjednoczonych pracy. Nie oszukujmy się. Tu łatwo się wzbogacić. Tak więc studenci spędzają czas, opiekując się dziećmi, sprząając domy, zmywając naczyń w restauracjach. Ameryka jest dla nich przede wszystkim miejscem zarobku.

– *Pojechałem tam z duszą na ramieniu. Nie znalazłem nikogo. Przez dwa tygodnie szukałem pracy. Z początku moje dni upływały leniwie. Opalałem się na plaży, zwiedzałem okolice. Potem zaczęłem pracować w cukierni i wtedy zaczęła się prawdziwa lekcja przetrwania. Nigdy tego nie zapomnę. To były moje najlepsze wakacje. Dlatego wracam do Ameryki za rok. Ten kraj jest jak magnes* – mówi Piotr, student prawa w Wyższej Szkole Przedsiębiorczości i Zarządzania im. Leona Koźmińskiego.

Praca w Stanach to nie tylko pogon za pieniądzem, lecz także nauka samodzielności, zdobywanie doświadczeń i praktyka języka.

– *Tego lata nie zamierzam tylko pra-*

cować. W zeszłym roku poznałem wielu wspaniałych przyjaciół, z którymi chcę zwiedzić Stany wzdłuż i wszerz – entuzjastycznie stwierdza Piotr. Jego przegoda jest pozytywnym doświadczeniem. Jednak, zapytany o słuszność mitu o Ameryce, bez wahania odpowiada: – *Ja miałem szczęście, ale wiem, że wiele osób wyrzeka ze Stanów z pustym portfelem i przekonaniem, że to kraj wielce odbiegający od ideału.*

Nie ma co się oszukiwać. Za oceanem też są tacy, którym się nie udało. To oni zamieszkują zaniedbane dzielnice. To oni są świadectwem tego, że życie w krainie arkaidii, gdzie miały się spełniać sny, wcale nie jest takie kolorowe.

– *Kiedy byłem w Nowym Jorku, otworzył się przede mną zupełnie inny świat. W Central Parku można spotkać gwiazdy estrady, ale też bezdomnych i tak zwany margines społeczeństwa. W tym mieście znajdują się zarówno wielcy wygrani, jak i wielcy przegrani* – mówi Piotr.

Często, myśląc o życiu w Stanach, wyobrażamy sobie świat widziany w filmach. To błędne rozumowanie. Dlatego, decydując się na wyjazd, trzeba mieć na uwadze wszystkie aspekty. Amerykański sen może okazać się zwykłym koszmarem.

Marta Kopczyńska

Z łezką w oku wspomina się czasy, gdy w krajobraz codzienności wpisany był dylżans pocztowy, którym – drogą lądową – przewożone były przesyłki. Kiedy list miał trafić do krajów zamorskich, wówczas przyszłowym poczytliwym stawał się statek, okręt, a nawet kuter rybacki.

Kuter poczytliwym

– Z myślą o upamiętnieniu piętej rocznicy rejsu rybaków helskich, którzy 5 czerwca 1999 r. płynęli przez Zatokę Pucką na spotkanie z Janem Pawłem II, postanowiliśmy zorganizować przewóz specjalnie ostemplowanych przesyłek pocztowych kutrem rybackim na trasie Jastarnia-Sopot – wyjaśnia Domicela Lemańska, prezes gdańskiego klubu Św. Gabriel, grupy kolekcjonerów walorów filatelistycznych o tematyce religijnej.

– Chcieliśmy również – dodaje pani Lemańska – aby przygotowany na tę okoliczność ozdobny kasownik był prawdziwym rarytatem także dla filatelistów zbierających walory o tematyce morskiej i tzw. *papaliów*.

Projektantem kasownika, na którym obok sylwetki łodzi żaglowej umieszczono napis: *V ROCZNICA POBYTU JANA PAWŁA II W SOPOCIE, POCZTA KUTROWA JASTARNIA-SOPOT, JASTARNIA 1, 05.06.2004* jest znany gdyński architekt Tadeusz Skwiercz (również członek klubu Św. Gabriel).

Zgodnie z zatwierdzonym przez Centralny Zarząd Poczty Polskiej w Warszawie regulaminem Poczty Kutrowej, stempel stawiany na tzw. przesyłkach ekonomicznych, priorytetowych i poleconych oraz na kratach pocztowych w obrocie krajowym i zagranicznym, opłaconych wg obowiązujących cenników, które w dniach od 3 do 5 czerwca znalazły się w Urzędzie Poczтовым nr 1 w Jastarni. Zapakowane do specjalnych worków zostały przewiezione na pokład kutra rybackiego *Jastarnia 74*, którego szyprem jest Eugeniusz Kohnke, a następnie przewiezione przez Zatokę Pucką do Urzędu Poczтовым nr 1 w Sopocie, stąd już trafiały do adresatów.

Dla samego autora stempla możliwość zaprojektowania datownika dla tegorocznej Poczty Kutrowej była czymś wyjątkowym.

Wiedząc, że moja praca zostanie wpisana w pocztę oficjalnych znaków pocztowych, które ktoś kiedyś będzie mógł oglądać w swoich zbiorach – opowiada – byłem przejęty i dużo też myślałem o moim dziadku.

Pan Tadeusz nie ukrywa, że za każdym razem, gdy ogląda klasery z wiekowymi znaczkami i kopertami, wspomina dziadka Pawła Wieszoka, który sadzał go na kolanach i pokazując znaczki, wprowadzał w czarny świat podróży po nieznanym lądach.

– Dziadek mówił mi, że najwarteściowsze są znaczki i koperty ostemplowane, a nie czyste – wspomina Tadeusz Skwiercz – i że ważny jest zarówno rysunek małego obrazka, jak i to, jaką

drogę pokonała przesyłka, żeby trafić do rąk właściciela.

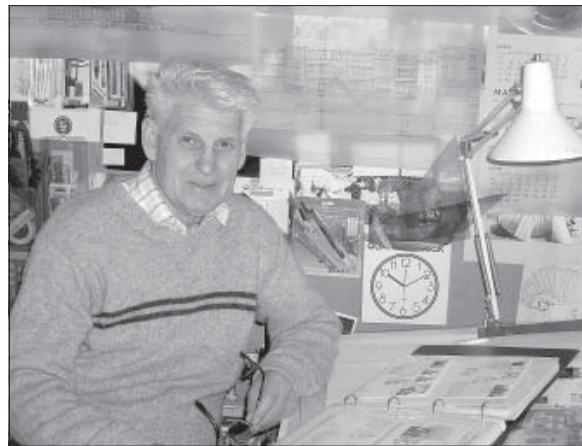
Przygotowując projekt tegorocznego kutrowego kasownika gdyński architekt często patrzył z okna swojej pracowni, która mieści się na ostatnim piętrze jednej z kamienic usytuowanej niedaleko portu, szukając wzrokiem najlepszego doń morskiego motywu. Ostatecznie zdecydował, że warto uwiecznić łódź żaglową, która, jego zdaniem, jest najbardziej romantyczną jednostką pływającą.

W kolejnych wariantach projektu pojawiały się łodzie z żaglem, którego pole wypełnione było rozmaitymi symbolami. Każdy szczegół wymagał dopracowania i uzasadnienia.

– Słuchałem uważnie, co na temat poszczególnych wariantów mają do powiedzenia moi przyjaciele ze świętogabrielowego klubu. Podczas kilku spotkań udało się opracować ostateczny projekt, który zatwierdził Zarząd Poczty w Warszawie – opowiada.

Tak więc, jeśli zobaczymy w naszej skrzynce pocztowej list, na którym znaczek będzie ostemplowany datownikiem ze skwierczowym rysunkiem łodzi, warto wiedzieć nie tylko o tym, że przyspłynął on do nas na pokładzie pocztowego kutra, lecz także o tym, że takich przesyłek jest ograniczona liczba.

Bogusław Olszonowicz



for. B. Olszonowicz

Człowiek dzisiejszy nie ma czasu świętować w niedzielę, choć śmiało można stwierdzić, że to świętowanie, jak nigdy wcześniej, jest mu bardzo potrzebne. Jak długo da się wytrzymać wśród huku maszyn fabrycznych? Jak długo można kasować towar w sklepie? Jak długo można śięczyć nad biurowymi papierami? Tempo działania jest tak gorączkowe, że bez wypoczynku nie sposób pracować na dłuższą metę. Z tej racji Bóg zostawił człowiekowi określony drogowskaz – *Pamiętaj, abys dzień święty święcił!*

Zysk a świętowanie

Co bliżej on oznacza? Otóż ten drogowskaz zobowiązuje chrześcijanina do dwóch rzeczy: oddania Bogu czci poprzez uczestnictwo w Eucharystii i wypoczynku w gronie rodzinnym (zacieśniania więzi z najbliższymi).

Spotkanie z Bogiem na Mszy św., ale także w każdej modlitwie pozwala, nabierać sił duchowych do podjęcia trudów pracy następnego dnia. Pozwala zastanowić się nad stanem swojego ducha i zrewidować postawy wobec bliźnich. Istnieją bowiem sprzężenie zwrotne między modlitwą Mszy św. a życiem. Żyjemy tak, jak się modlimy i modlimy się tak, jak żyjemy. Zatem wymiar duchowy należy do całokształtu dojrzałej osobowości. Chodzi o to, że wszystko jest sprawą motywacji. Jeżeli mi na czymś zależy, to znajdę na to czas. Gdy mi na czymś lub na kimś nie zależy, to nawet długi weekend będzie za krótki, by temu czemuś lub komuś poświęcić czas. Każdy z nas znajduje czas na te wartości i dla tych ludzi, na których mu najbardziej zależy! Podobnie jest z Chrystusem. Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, jaką wartością jest dla nas Jezus? Wielu uni-

ka tego pytania, gdyż odpowiedź na nie zobowiązywałaby do zmodyfikowania stylu własnego życia.

Drugi wymiar Bożego drogowskazu zobowiązuje do wypoczynku. Chodzi o to, że zbyt długa praca – wyniszczająca siły ludzkie, przekraczająca ustaloną liczbę godzin i przełożona na niedzielny przymus pracy – utrudnia rozwój religijno-moralny, a także negatywnie wpływa na życie rodzinne i podejmowaną pracę. Wymiar religijny oznacza, że nie można być zobowiązanym do pracy w dni świąteczne, gdyż nie samym chlebem człowiek żyje. Wymiar moralny przybiera dwa elementy: osobisty i rodzinny. Osobisty aspekt odpoczynku pozwala na odzyskanie i odnowie-

nie zniszczonych i wyczerpanych praca sił. Natomiast aspekt rodzinny pozwala na pogłębienie więzi ze swoimi najbliższymi. W sytuacji, gdy człowiek zmęczony zostaje do zakłócenia spokoju całego domu, zostaje pozbawiony relaksu osobistego i możliwości wypełnienia powinności wobec Boga i rodziny; negatywnie odbija się to na samej pracy. W pracowniku rodzi się nieufność wobec tych przełożonych, którzy zmusili go do pracy.

Należy podkreślić, że prawo do wypoczynku ma nie tylko szef przedsiębiorstwa, czy dyrektor supermarketu, lecz także podwładny, który także ma swoją rodzinę i także pragnie wypocząć. Pracodawcy nie mogą zmuszać swoich podwładnych i pracowników do zrezygnowania z niedzieli. Świętowania i wypoczynku domaga się nie tylko sam Bóg, lecz także ludzka natura. Drzewo nie rodzi owoców przez cały rok, ale wypoczywa w ciągu długich, zimowych miesięcy i nabiera sił do owocowania. Roli nie można zasiewać okrągły rok, bowiem wymaga wypoczynku. Tak samo nie wolno wyzyskiwać i nadużywać sił pracowników i podwładnych.

ks. Robert Nęcek



for. P. Zyborski

STAROŻYTNOŚĆ CHRZEŚCIJAŃSKA (11)

W drugiej połowie XIX w. wzrasta zainteresowanie Kościołami Wschodnimi. Już bł. papież Pius IX tworzy specjalny organ do opieki nad nimi w **Kongregacji Propaganda Fide**. Krokiem milowym był list apostołski papieża Leona XIII **Orientalium dogmatas Ecclesiarum** (1894 r.). W rocznicę wydania tego listu Jan Paweł II wydał bardzo ważny dokument – inny list apostołski **Orientalis Lumen**.

W 1917 r. papież Benedykt XV utworzył **Kongregację do Spraw Kościołów Wschodnich**. Jej zakres działania znacznie poszerzył papież Pius XI, który poddał jej władzy wszystkie sprawy Kościołów na terenie Egiptu z Synajem, Etiopii i Erytrei, Albanii, Bułgarii, Grecji z Cyprzem, Iraku, Libanu, Palestyny, Syrii, Jordanii i Turcji, a ostatnio i Afganistanu. Większość Kościołów, o których mówiliśmy, z wyjątkiem Indii i Armenii, podlega teże **Kongregacji**.

Na jej czele stoi prefekt – kard. Ignacy Moussa Daoud I, dawny syryjski patriarcha Antiochii, a jego podsekretarzem jest ks. prałat Krzysztof Nikiewicz z archidiecezji Białostockiej. Innym akcentem polskim jest to, że jej pretektem był Polak – ks. kard. Władysław Rubin. W **Kongregacji** znajdują się specjalne komisje do spraw liturgii wschodniej, studiów wschodnich, formacji kleru oraz specjalna komisja do spraw Palestyny. Ponadto **Kongregacja** ta koordynuje szereg dzieł wspomagających chrześcijan na Wschodzie. Niektóre z nich mają ponadwiekową tradycję, jak francuskie *Oeuvre de l'Orient*.

W Rzymie również istnieje specjalny **Instytut Orientalny** prowadzony przez jezuitów, założony przez papieża Benedykta XV w 1917 roku. Jego celem jest rozwijanie studiów nad Wschodem chrześcijańskim i kształcenie specjalistów w tej dziedzinie. Natomiast w **Bibliotece Watykańskiej** znajduje się jeden z największych na świecie zbiorów

rękopisów orientalnych. W bibliotece tej pracował zawsze zespół wybitnych orientalistów (jednym z nich był kard. E. Tisserant – postać dominująca w Watykanie, w drugiej połowie XX w. – obok kard. Agagianiana – ormianina, którego nawet zaliczano do *papabili*, czyli ewentualnych kandydatów na papieża).

W XIX i XX wieku bujnie rozwijają się, wspierane przez Kościół, studia nad Orientem chrześcijańskim. One to spowodowały zainteresowanie się szerszej społeczności tymi Kościołami i ich lo-

ściółów Wschodnich: *Instytucje Kościołów Wschodnich, ich obrządku liturgiczne, tradycje kościelne oraz porządek życia chrześcijańskiego cieszą się wielkim szacunkiem Kościoła katolickiego. W nich bowiem, jako odznaczających się czcigodną starożytnością, jaśnieje to, co poczyniły od Apostołów poprzez Ojców Kościoła tworzy Tradycję, a co stanowi część objawionego przez Boga i niepodzielnego dziedzictwa Kościoła powszechnego. Wykazując zatem troskę o Kościoły Wschodnie, które są żywymi świadkami Tradycji, a także pragnąc, aby rozkwitły one i z nową mocą apostołską wypełniały powierzone sobie zadanie, ten święty i powszechny Sobór postanowił przez tego, co odnosi się do całego Kościoła, określić pewne normy podstawowe, inne*

pozostawiając do rozstrzygnięcia synodom wschodnim, a także Stolicy Apostolskiej...

Następnie w dekrecie znajdujemy omówienie cech charakterystycznych Kościołów Wschodnich (część I), ich dziedzictwa duchowego (część II); z części III jest mowa o typowej dla Kościołów Wschodnich instytucji patriarchatu; w IV części mówi się o dyscyplinie sakramentów, w V – o kulcie Bożym, w VI zaś o kontaktach z braćmi odłączonymi.

W zakończeniu dekretu znajduje się wezwanie do modlitwy: *Tymczasem jednak do wszystkich chrześcijan, zarówno wschodnich jak i zachodnich, kieruje się gorącą prośbą, aby zanosili gorliwie i wytrwale, a nawet codzienne modlitwy do Boga, by z pomocą Najświętszego Bogarodzicy wszyscy stanowili jedno. Niech także proszą, aby Duch Święty ich pełnił umocnienia i pocieszenia w tak wielu chrześcijan każdego Kościoła, którzy cierpiąc udręki, odważnie wyznają Chrystusa. To ostatnie zdanie przypomina o cierpieniach, jakie znoszą nasi bracia, chrześcijanie wschodni.* ■

Dziedzictwo Kościołów Wschodu

ks. Marek Starowiejski

sem oraz przyczyniły się do powstawania towarzystw spieszących im z pomocą materialną i duchową.

Z tego, co zostało powiedziane, jest rzeczą zrozumiałą, że w tej atmosferze nie mogło zabraknąć problematyki wschodniej w dokumentach **Soboru Watykańskiego II**, tym bardziej że sprawa ta miała tak możliwych orędowników zarówno w Rzymie (kardynałowie Tisserant i Agagianian), jak i w osobach wybitnych patriarchów wschodnich (Maksym Saigh czy Gabriel Tappouni), otoczonych rzeszą znaczących teologów wschodnich, którzy przed rozpoczęciem **Soboru** i w czasie jego trwania, nieustannie przypominali ojcom soborowym o istnieniu, wadze i znaczeniu Kościołów chrześcijańskich na Wschodzie.

Sprawą Kościołów Wschodnich zajęła się specjalna komisja, a sam tekst był kilkakrotnie poprawiany i odsyłany do dalszych popraw. Ostatecznie został on przyjęty 21 XI 1964 r. 2110 głosami **za** przy 39 głosach **przeciw**; tego samego dnia dekret został promulgowany przez Pawła VI. Dekret ten składa się ze wstępu, sześciu części i zakończenia. We wstępie podkreśla się godność Ko-

REPRESJE DUCHOWIEŃSTWA W PRL (2)

Księża: **Suchowolec i Niedzielak** zginęli na krótko przed rozpoczęciem obrad **Okrągłego Stołu**. **Ksiądz Sylwester Zych** zginął wkrótce po wyborach 4 czerwca 1989 r. i tuż przed wyborem generała Jaruzelskiego na prezydenta. Został znaleziony nieprzytomny w Krynicy Morskiej na przystanku autobusowym. Mimo natychmiastowej reanimacji nie udało się go uratować. Stwierdzono niewielkie obrażenia głowy i ogromne stężenie alkoholu w organizmie.

Śmierć księdza Zycha

Na początku lat 80. młody ks. Zych rozpoczął z działaczami **Solidarności** akcje wieszania krzyży w szkołach w Grodzisku Mazowieckim i Tuszczy. Naraził się tym ówczesnemu rzecznikowi rządu Jerzemu Urbanowi, który piętnował go za to publicznie. W pierwszych miesiącach **stanu wojennego** miał miejsce zamach na sierżanta MO Zdzisława Karosa. Dokonał go uczniowie szkoły średniej w Grodzisku: Robert Chechłacz i Tomasz Lupanow. Aresztowano ich oraz ks. Zycha, który miał przechowywać broń jednego z nich. Oskarżono go o współudział w zabójstwie i **gromadzenie broni**. Sąd Wojskowy w składzie: prokurator Jan Obara, ppłk Władysław Monarcha, por. Jan Malinowski, por. Marian Wybrańczyk, ppor. Józef Skauba, skazał go na cztery lata więzienia. Sąd Najwyższy podwyższył wkrótce ten wyrok na lat sześć.

Ksiądz Zych przebywał najpierw w więzieniu na Mokotowie, a później w jednym z najcięższych więzień w Braniewie. Był traktowany jak w najgorszych czasach stalinowskich, szykanowano go i straszono śmiercią. Mimo interwencji Prymasa Polski w 1984 r. u ministra gen. Kiszczaka zastrzeżono wobec księdza Zycha **rygor wykonywania kary**, osadzając go w odosobnieniu na 9 miesięcy. Zakazano mu odprawiania Mszy św., niszczone jego dewocjonalia. Sąd Marynarki Wojennej, do którego ks. Zych się

zwrócił ze względu na zły stan zdrowia, odmówił przedterminowego zwolnienia, uzasadniając to **złym zachowaniem, negatywnym wpływem na innych więźniów i zorganizowaniem strajku głodowego w celu przyznania mu statusu więźnia politycznego...**

Dopiero w 1986 r., po czterech latach więzienia, został zwolniony. Mimo utraty zdrowia, nie zaprzestał działalności patriotycznej, nawiązał współpracę z **KPN**, której został kapelanem. Wygłaszał homilie, które władze komunistyczne traktowały jako akty wrogie wobec państwa. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa. W październiku 1987 roku napisał testament, w którym zeznał się z najbliższymi i z przyjaciółmi. Niestety, jego przewidywania sprawdziły się niecałe dwa lata później.

Te zabójstwa, dokonywane w majestacie ówczesnego prawa i komunistycznego państwa, muszą być również uwzględnione jako symbol w pamiętnym przełomie 1989 roku. Rzuciły one złowrogi cień na dalsze przemiany i optymistyczne prognozy. Świadczyły o dalszej obecności egzekucyjnych służb w zmieniającym się systemie. Trudno uwierzyć w liberalizm ostatniego okresu PRL i chęć **pokojowego oddania władzy**, można natomiast za sprawą tych mordów zrozumieć późniejszą, nadzwyczajną tolerancję wobec komunizmu w Polsce.

Marek Klecel

Intencja II Krucjaty Modlitwy za Ojczyznę
SIERPIEŃ 2004:
O obfite zbory i godziwą za nie zapłatę dla polskich rolników.

CZEGO TRZEBA POLAKOM?

Komunikacja

Przez tysiąclecia ludzkość odkrywała nowe zasoby. Wbrew krakaniu zakłamanych ekologów jest ich jeszcze wiele wewnątrz ziemi, a energia słońca łątwo się nie wyczerpie. Ale największy postęp ludzkość uczyniła wcale nie w odkrywaniu nowych złóż. Największy postęp mamy w odkrywaniu kapitału niematerialnego, który po angielsku nazywa się **niedotykalnym**. Ten kapitał tkwi w ludziach.

Najbardziej się rzuca w oczy postęp komunikacji. Ludzie i towary przemieszczają się stosunkowo tanio i bardzo szybko wokół ziemi. Jeszcze szybciej obiegają świat ogromna masa informacji, które umiemy porządkować w niewielkich, wygodnych urządzeniach, jak to, na którym teraz piszę. W biznesie ludzie nauczyli się operować umowami, które umożliwiają niewiarygodnie szybki obrót kapitału, choć nikt do końca nie wie, czy ten kapitał naprawdę istnieje. Ale ten problem jest stary jak świat.

Cała ta technika w Polsce istnieje. Ale... Choć nasz kraj jest tylko odrobinę biedniejszy od Czechów i Węgrów, a jego eksport nowoczesnych technologii jest znacznie mniejszy. Polskie dzieci mają komputery, ale używają ich do idiotycznych gier. Te same komputery mogą służyć nauce technologii, poznaniu, kontaktom ze światem.

Na Zachodzie młodzież też gra, ale i korzysta z techniki do celów nieustannego doskonalenia komunikacji, która jest fantastycznym zasobem ludzkości i pozwala zaoszczędzić wiele tradycyjnych zasobów. I biznes się kręci.

Ale Zachód przeżywa dekadencję. Biznes kręci się coraz gorzej. Gospodarka rozwija się coraz wolniej.

Bez doświadczenia komunikacji, która jest w żywym Kościele, Zachód oczywiście zwiednie i się zapadnie. Ta komunikacja jest komunią ludzi, którzy w wolności oddają siebie. Którzy wiedzą, co jest dobre, a co złe. Którzy nie nie robią własnymi siłami, tylko oddają się Bogu.

MM

Tajna milicja polityczna zainteresowała się mną w roku 1961, na trzecim roku studiów, gdyż, jak napisał oficer *ubecki*, byłem *zagorzałym klerykałem*. Prowadziła inwigilację nieprzerwanie do roku... 1988.

Sieci bezpieki

Milicja otoczyła mnie siatką, zmieniających się często, szpicłów, regularnie podsłuchiwała moje rozmowy telefoniczne, czytała wszystkie, nawet najbardziej intymne, listy; trzy z nich, nigdy niedorezone, zachowała w aktach z adnotacją, że są to dokumenty o wielkim znaczeniu i szczególnie tajne, a ja w tych pisaniami namawiałem mych najbliższych, żeby nie brali udziału w jakichś tam wyborach. Milicjanci robili mi zdjęcia na ulicach, w różnych okolicznościach, gdy na przykład wchodziłem do domu, spotykałem się ze znajomymi.

Każda moja nowa znajomość była natychmiast odnotowana, a poznana osoba od razu stawała się przedmiotem systematycznej obserwacji. Oficerowie SB zapisali imiona i nazwiska, daty urodzenia, zawody i miejsca pracy wszystkich lokatorów z piętra, na którym mieszkalem w latach siedemdziesiątych. Moje teczki milicyjne pęczniały i ciągle powstawały nowe – dziesiątki, a może setki teczek. Istna reakcja łańcuchowa *bezpieki*.

Wszystkie relacje z moich zachowań i wypowiedzi, podróży, spotkań, informacje o moich znajomych, listach są podpisane przez oficerów operacyjnych. Niektórzy sygnowali swe sprawozdania jedynie nazwiskiem, stąd nie znam wszystkich imion. Tę listę oficerów operacyjnych prowadzących inwigilację mojej osoby otwiera w roku 1961 **F. Sobieszczyk**, a później byli: **R. Reszczyński**, **Z. Tymoszyk**, **W. Górski**, **M. Śliwiński**, **A. Muszyński**, **Z. Bielecki**, **Sieradzki**, **S. Delakowicz**, **S. Werenc**, **J. Majterski**, **G. Kubiak**, **Kieler**, **D. Holda**, **E. Kudybiński**.

Co oni dzisiaj robią? Młodzi zapewne nadal pracują w aparacie bezpieczeństwa, ponieważ oprócz pisania raportów z inwigilacji nic innego nie umieją robić i przekazują swe wieloletnie do-

świadczenia adeptom delatorstwa. A starsi, jeśli żyją, pobierają na pewno wysokie emerytury przyznawane mundurowym i zasłużonym pracownikom PRL.

Któryś z nich meldował drugiemu, że na razie niemożliwe jest założenie w moim mieszkaniu urządzenia podsłuchowego *PP*. Jak ono działało, przekonałem się, czytając niemal stenograficzny protokół z mojej rozmowy ze Stefanem Staszewskim, przeprowadzonej w jego mieszkaniu, gdzie, czegoś mi sobie obaj absolutnie nie uświadamiali, udało się *bezpiece* te instrumenty zainstalować. Ale w ogóle wykonywali swe zadania bardzo źle: mylili imiona, nazwiska; od pewnego czasu w ich relacjach byłem synem Karola, podczas gdy mój śp. Ojciec nosił inne imię; od pewnego czasu meldowano, że znalazłem angielski i francuski, podczas gdy znam francuski i rosyjski. Autorzy protokołów oklamywali swych zwierzchników, którym składali relacje. Zapamiętałem z tamtych czasów Kieler: zadzwonił do mnie w sobotę rano (w niedzielę wyjeżdżałem do Paryża) i zaproponował natychmiastowe spotkanie w Pałacu Mostowskich. Kiedy odmówiłem, oświadczył, że w takim razie jutro przyjdzie na peron porozmawiać ze mną, a pociąg nie zaczeka. Wolałem zatem iść od razu, niż ryzykować niewyjechanie tym pociągiem, na który miałem bilet.

Tymczasem Kieler raportował, że przyszedłem do niego z własnej i nieprzymuszonej woli. Kłamstwo to miało wykażać, jak sprytnie on mnie osaczał i jak bardzo się go bałem. Kłamstwa, niechlujstwa informacyjne, indolencja operacyjna są łatwo zauważalne przy przeglądaniu dokumentów tej inwigilacji politycznej. W roku 1979, gdy narzmiwał już bunt mający wkrótce wybuchnąć płomieniem *Solidarności*, je-

den oficer nakazał drugiemu, widocznemu podwładnemu, zniszczyć moje akta. Nie zostały one jednak zlikwidowane, najlepszy dowód, że są zachowane w Instytucie Pamięci Narodowej.

Owszem, później, w latach osiemdziesiątych mocno je przetrzebiono, nawet tak, że pozostały jedynie strzępy wojałów o paszporty. Zresztą *bezpieka* Jaruzelskiego miała ważniejsze zadania niż śledzenie moich poczynań, które wzbudzały wielki niepokój za czasów dwóch poprzednich przywódców partii, bojących się panicznie wszelkich kichnięć niezgodnych z polityką *PZPR*. Jaruzelski miał już przed sobą przeciwników o wiele groźniejszych...

Nie wsadzono mnie, nie odkryto, co w latach siedemdziesiątych, w *stanie wojennym* i okresie podziemia *solidarnościowego* czyniłem, a poświęcono mi bardzo dużo uwagi, która przecież kosztowała. Władza polityczno-milicyjna przez 27 lat wydawała wieńca na bezskuteczną inwigilację mojej osoby i ludzi ze mną związanych rodzinnie, przyjacielsko czy koleżeńsko wielkie sumy pieniędzy. A ilu było podobnie do mnie *podpadniętych* władzy ludowej, również systematycznie obserwowanych? Na pewno setki tysięcy, jeśli nie miliony...

Dzisiaj Instytut Pamięci Narodowej spełnia swe powołanie dzięki środkom państwowym, ale sumy, jakie otrzymuje, są za małe, by spełniał je na miarę naszych potrzeb. Ustawa zaś zabrania instytucji prowadzenia działalności gospodarczej. Tymczasem budżet *IPN* jest systematycznie, z premedytacją, pomniejszany. Czy więc my, którym na sercu leży, aby fakty z tragicznej i ponurej historii Polski lat 1944 – 1989 nie poszły w zapomnienie, nie powinniśmy tej instytucji wesprzeć?

Przede wszystkim naszym kategorycznym głosem opinii publicznej docierającym do posłów i senatorów. A po wtóre własną pomocą finansową, bo w *IPN* wciąż dramatycznie, jakby ktoś się zawziął, brakuje pieniędzy na wszystkie, nawet na materiały papierniczo-drukarskie!

Jacek Wegner

15 lat III Rzeczypospolitej – rocznica ta przypada w momencie głębokiego kryzysu nie tylko ekonomicznego i społecznego (choćby paradoksalnie ma miejsce początek ożywienia gospodarczego, które ciągle jeszcze nie przekłada się na poprawę społecznych nastrojów), lecz także politycznego, a zwłaszcza moralnego. Znaczna część społeczeństwa żyje na granicy ubóstwa, poniżej socjalnego minimum. Korupcja i pogarda dla ludzi ubogich rodzi poczucie apatii i irytacji. Te nastroje pogłębiają informacje o szokujących poborach telewizyjnych gwiazd, prezesów niektórych rad nadzorczych, czy zarządów spółek oraz o korupcyjnych aferach ujawniających powiązania polityków ze światem przestępczym, często z kryminalnymi gangami.

Jubileusz III RP

Kryzys moralny oznacza kult sukcesu rozumianego jako szybkie i łatwe wzbogacenie się, lekceważenie drugiego człowieka, zwłaszcza biednego i wymagającego pomocy, powoduje zanik patriotyzmu, myślenia w kategoriach dobra wspólnego.

Młode pokolenie nie zna i nie chce znać historii, literatury, przedmioty te są z resztą nauczane w stopniu szczątkowym i powierzchownym co owocuje tym, że ponad połowa Polaków nie wie nic np. o *Powstaniu Warszawskim*, a dla większości najwybitniejszym politykiem po II wojnie był Edward Gierek.

Zatarciu ulegają dawne historyczne podziały na obóz wywodzący się z tradycji *solidarnościowej* i opozycji demokratycznej oraz postkomunistyczny, a także tradycyjny podział na prawicę i lewicę. Polityka coraz częściej oznacza po prostu socjotechnikę, a czynnik ideowy ma charakter dekoracyjny. Na dłuższą metę stanowi to zagrożenie samych podstaw demokracji, która polega na aktywnym udziale i oparciu istotnej części społeczeństwa.

Bardzo trudno przewidzieć, w jakim kierunku potoczą się wydarzenia, ale brak podstaw do przypuszczeń, że szybkie wybory cokolwiek tu poprawią. W moim przekonaniu raczej sytuację pogorszą, a kolejny sejm będzie gorszy od poprzedniego. Nic nie wskazuje na to, aby istniała w Polsce groźba zaprowadzenia populistycznej dyktatury *à la Lepper*, lub ktoś w tym rodzaju. Nie jest też realny powrót do władzy ludzi

wprost odwołujących się do komunistycznego dziedzictwa, chociaż takie ruchy istnieją.

Lata, które upłynęły od czerwca 1989 r. obok niepowodzeń i rozczarowań przyniosły także bardzo wiele suk-



foto: P. Zycieński

cesów, a malowany przez różnego pokroju demagogów i populistów czarny obraz narodowej katastrofy, kolejnego rozbioru, biologicznej zagłady narodu jest jednostronny, przesadny i nieprawdziwy. Niekwestionowanym sukcesem jest nasz udział w NATO, krytykowany jeszcze kilka lat temu przez te same, z reguły promoskiewskie środowiska, które dziś prezentują zjadłą wrogość w stosunku do członkostwa naszego kraju w *Unii Europejskiej*. Sukcesem jest cały obszar przywrócenia wolności obywatelskich i politycznych, nie małe

są też osiągnięcia gospodarcze, gdy się weźmie pod uwagę pod uwagę chociażby skalę inflacji, dochód narodowy, zaopatrzenie, poziom handlu i usług. Poprawie uległo wiele wskaźników świadczących o rozwoju, np. długość życia, wykształcenie, struktura zatrudnienia, przedsiębiorczość i wiele innych.

Rok 1989 nie był więc, jak twierdzą niektórzy, rokiem klęski, zdrady, początkiem jednego z najbardziej tragicznych rozdziałów historii Polski. Przeciwnie, był początkiem procesu, który okazał się bardzo trudny, choć jest powodem radości i dumy. Po raz drugi w historii Polska, tym razem bezkrwawo, odzyskała wolność i niepodległość, odbudowała demokrację, stała się czynnikiem pokoju i stabilizacji w tej części Europy, doprowadzając do przekreślenia dziedzictwa Jałty i odbudowania jedności naszego kontynentu w oparciu o wolności obywatelskie i prawo narodów do życia we własnych państwach. Zrozumiałe są porównania naszej niepodległości do II Rzeczypospolitej.

Tymczasem nasze bezpieczeństwo opiera się na uczestnictwie w sojuszu NATO i w *Unii Europejskiej*. Na przyjaznych stosunkach ze wszystkimi sąsiadami, w tym z demokratycznym Niemcami, wreszcie na zupełnie nowej definicji polityki rosyjskiej powstałej w efekcie rozpadu Związku Sowieckiego i budowaniu podstaw demokracji w Rosji. Są to czynniki trwałe, przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości. Dlatego podstawowe wyzwania, przed którymi stoi demokracja w Polsce, mają na szczęście wyłącznie charakter wyzwań wewnętrznych, a podstawowe decyzje dotyczące naszego kraju zapadają w Warszawie.

W najnowszej historii Polski takich okresów było niewiele, a bardzo dużo ludzi oddało życie, lub życie narażało, aby tak właśnie było. Mam szczęście należeć do pokolenia, któremu dane było tego doczekać, a które wystarczająco długo żyło w czasach niewoli i poniżenia, ażeby to obiektywnie docenić.

Stefan Niesiołowski

PLASTYKA

Tkane księgi

Bogactwo i finezę sakralnych tkanin dekoracyjnych znany w Polsce bardzo dobrze. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, mimo dziejowych zawieruch, zachowały się u nas całe zespoły wspaniałych szat liturgicznych. Zdumiewające swoją ozdobnością i wyrafinowaniem haftu widzimy nie tylko w kościelnych skarbcach i muzeach, lecz także w czasie wielkich świąt kościelnych.

Rzadkością są natomiast tkane na jedwabiu modlitewniki. Pierwsze ich egzemplarze, powstałe w na początku wieku XIX, zawdzięczamy wynalazkowi francuskiego tkacza Josepha-Marii Jacquarda. W roku 1804 opracował on maszynę, która pozwalała sterować grupami nitek osnowy na krośnie. Dzięki temu uzyskiwało się na tkaninie lub dzianinie wzór światłocieniowy. Całe obrazy tkane w technice *taille-douce*, imitujące miedzioryty, pojawiły się we Francji w pierwszej tercji

XIX wieku. Przedstawiano na nich wydarzenia historyczne oraz portrety (Piusa IX, Napoleona III czy cesarzewej Eugenii).

Na wystawie pt. *Przepych i blask jedwabnictwa lyońskiego*, prezentowanej ostatnio w warszawskim Muzeum Narodowym, zobaczyć można było piękny Baldachim Matki Boskiej z Salett wzorowany w latach 1874 – 1876. Baldachim wykorzystywany był w czasie procesji przenoszenia Najświętszego Sakramentu. Projekt tej tkaniny wykonał malarz Pierr Maillot. Osiemdziesiąt osiem najważniejszych postaci w historii chrześcijańskiej Francji ukazanych jest na czterech częściach baldachimu w czasie procesji przed przedstawieniem Piety. Warszawska ekspozycja pokazuje także roboczy rysunek tkaniny, tzw. *kratkówkę baldachimu*. Jest to transkrypcja tkanych wzorów na papierze kratkowanym. W kratce każda linia pionowa zastępuje nit-

kę osnowy, a pozioma – nitkę wątku. Odczytywanie kratkówki pozwalało na zaprogramowanie podciągu nicielnic na warsztacie Jacquarda. Na pokazanej kratkówce przedstawieni są: św. Genowefa, Chlodwíg w ubiorze konsularnym, Klotylda jako cesarzowa Bizancjum oraz św. Remigiusz, biskup Reims, który ochrzcił Chlodwígą w 498 roku.

Modlitewnik wykonany z okazji jubileuszu papieża Leona XIII (1886 – 1887) i przeznaczony dla młodych panien, to książka tkana szaro *en cammaieu* w tradycji średniowiecznych godzinek. Zawarte są w niej teksty dla nowożeńców, modlitwy poranne i wieczorne, modlitwy do Świętego Ducha, Matki Boskiej, komunijne i na czas Adoracji Najświętszego Sakramentu. Poszczególne teksty rozdzielone są czterema wianitami: Boże Narodzenie, Matka Boża adorowana przez anioły, Ukrzyżowanie oraz Dysputa o Najświętszym Sakramencie. Wykonanie tej niezwyklej książki zajęło lyońskim tkaczom przebież dwa lata. Istnieje podobno tylko 50 jej egzemplarzy, warto więc zobaczyć ją w Warszawie.

Jarosław Kossakowski

CHWILA MUZYKI

Grzech nieczystości

Ci spośród Szanownych Czytelników, którzy kiedykolwiek mieli do czynienia z występami scenicznymi, wiedzą dobrze, jak bardzo frustrujące jest zakończenie koncertu. Uchichły już oto ostatnie oklaski, przebrzmiały bisy i zgasły światła. A ten, który dotychczas był w centrum uwagi, schodzi ze sceny z co najmniej miesznanymi uczuciami: sukcesu? porażki? niespełnienia? niedosytu? przesyty? Dopóki jutrzejsza prasa nie napisze recenzji, dopóty nie wiadomo tak naprawdę, co się wydarzyło, choćby brawa były najrzęstsze, a gratulacje niekończące się...

Im większe i autentyczniejsze emocje miotają wykonawcą na scenie, tym trudniej je po koncercie szybko spako-

wać – niczym sprzęt nagłaśniający – i schować do przygotowanych w tym celu psychicznych pudełek, do następnego razu. Artysta przeważnie pozostaje sam na sam ze swym rozedrganym wnętrzem, co jest sytuacją niezwykle frustrującą. Stąd zamilowanie ludzi sceny do mocnych trunków, szybkich samochodów, nocnych eskapad i pięknych kobiet (lub mężczyzn). W sytuacji nieuniknionego *dolka energetycznego* po występie, każdy bodziec zewnętrzny wydaje się być wybawieniem od dojmującego i wszechogarniającego poczucia pustki.

Z kolei popęd seksualny to potężna energia. Od głodu, pragnienia i braku powietrza różni się tylko tym, że jego

nieszaspokojenie nie prowadzi bezpośrednio do śmierci. Jednak długotrwałe utrzymywanie go w granicach, jakie człowiek uznał dla siebie za bezpieczne i właściwe, wymaga dużej siły i stałej czujności. Trudno się zatem dziwić, że w sytuacji opisanego powyżej wyczerpania emocjonalnego po występie te hamulce *puszczają* i nieszczęsny artysta częstokroć staje się niezdolny do przeciwstawienia się samemu sobie. Czy wówczas zgrzeszy, czy nie, jest bardziej funkcją okoliczności, niż jego świadomego wyboru.

Nie wódz, o Panie, na pokuszenie zmęczonych artystów, zbaw ich od rzęs drapieżnych fanek (lub fanów), a jeśli już ulegną pokusie, odpuść im, boć przecież do pewnego stopnia nie zawsze wiedzą, co czynią...

Maria Szreder

OKIEM ŻUKA

Zauważyłem, że najbardziej niebezpieczne pojęcia zaczynają się na *re*. Na przykład: re-forma, re-strukturyzacja, re-dukacja, re-gionalizacja, re-negocjacja, re-presjonowanie, re-waluacja, re-glamentacja, re-kiwizycja, re-mont, re-ntowność, re-organizacja, re-presja, re-prywatyżacja, re-socjalizacja, re-strykcja, re-waloryzacja, re-windykacja. Te słowa w ustach polityków oznaczają, że albo będą chcieli mi coś zabrać, albo spowodują, że poniosę jakąś stratę, bądź też będą chcieli – w majestacie prawa! – obniżyć moje dochody. Jednym zdaniem: wszystkie takie słowa są dzwonem na trwogę!

Re-kityzacja
czyli wciskanie kitu

Najgorsze są te re-formy. To już, mur-beton, że chcą ci uzasadnić jakiegoś podwyżki cen lub cię zredukować. Wiele widziałem reform, ale jeszcze o takiej nie słyszałem, aby przyniosła ludziom indywidualne korzyści. Reformuje się najczęściej to, co stanowi własność *ogona obywatelskiego*, to jest najbiedniejszych. Na przykład nazywa się takie działania *reformą zdrowia*. Kiedy człowiek zdrowy usłyszy o rezultatach takiej reformy, natychmiast przeżywa stres i choruje *na nerwy*, co wymaga lekarstw, ale te lekarstwa po tej reformie zdrożeją, jak amen w pacierzu. Kiedy zgłaszasz swoje zastrzeżenia, powiadają ci, że musisz być poddany re-edukacji – abyś mógł bardziej rzeczowo wydukać swoje pretensje i zastrzeżenia. Re-strukturyzacja, to wiadomo, że wstrząśnie swymi strukturami działalności zakładu, polegającej na wywozie i sprzedaży maszyn. Nie zdarzyło się, by re-strukturyzacja polepszyła strukturę pracowników i by pracownicy na niej skorzystali. W rezultacie re-strukturyzacja oznacza zwalnianie pracowników w kolejnych turach, gdy w istocie powinna być synonimem modernizacji, to jest wprowadzenia takich technologii nowoczesnych, które pozwolą zakładowi konkurować z innymi przedsiębiorstwami tej branży. Znaczyliby to wzmożenie struktur zarówno zakładu, jak i jego pracowników. A tu figa z makiem! Oznacza to redukcję lub zamknięcie zakładu. Re-gionalizacja, to nic innego jak przerzucenie obowiązku płacenia przez

regiony za to, za co dotąd płaciła centrala. Nakłada się obowiązek nie dając pieniędzy. Skutki? Widoczne. Przypomina to nieco sytuację w Turcji osmańskiej. Podatki płaciło się w złocie, pensje otrzymywało się w miedzi.

Wszystkie niemal *re* sprowadzają się do *RE*-formy. Forma jest coraz piękniejsza i bardziej patriotyczno-logicznie uzasadniana, ale treść w tej formie jest taka, że albo: *daj nam więcej*, albo: *damy ci mniej*. Po cichu powiada się między swoimi, że ponieważ niektórym swoim dano więcej, bo byli swoimi; inni dostali więcej za koperty, przeto trzeba oczyścić to, co było brudne, z tym że najczęściej do czyszczenia powołuje się tych, którzy lub przymykali oko na brudy lub sami brudzili z korzyścią dla siebie. Re-ntowność to też słowo groźne. Tłumaczy się nim człowiekowi, że prze-

stanie zarabiać, ponieważ pracował nad towarem, który jest nierentowny. Zadziwia tylko to, że akurat tu, w naszej miejscowości X towar jest nierentowny. Być może jest też nierentowny w miejscowości Y, ale gdzieś w O, Ł, Ś jest rentowny, a poza tym jest niezbędny do współczesnego życia. Można więc, biorąc przykład z miejscowości O, Ł, Ś, zastosować takie metody i takie doskonalenie, by ów towar stał się rentowny w miejscowościach X i Y. Wprawdzie to kosztuje, a więc na pewien czas można nawet pogorszyć warunki płacowe (kto zechce ten odejdzie), a po udokumentowaniu ratami spłacać pracownikom to co się im czasowo ujęło, ku wspólnej korzyści zarówno zakładu, jak i pracowników. Jeśli słyszysz o re-waloryzacji, to, jeśli miałeś jakiegokolwiek walory, możesz być pewien, że będziesz ich miał mniej.

Prawie wszystkie te *re* to eufemizmy. Ścisłej precyzując – pojęcia, które mają brzmieć niegroźne, których celem jest unikanie takich słów, jak pauperyzacja, zmniejszenie, odebranie przywilejów (*nota bene* – zasłużonych), zubożenie, regres, zbiednienie czy okrojenie itp.

W gazetach można przeczytać, a w radiu i TV usłyszeć, że to i owo nam wzrosło, nawet PKB. Wobec tego jesteśmy bogatsi, a od bogatszych nie wstydźmy zebrać więcej tego, co cesarskie, choć wzrost na kolumnach statystyk może się okazać ubytkiem w portmonecie.

żuk



PRZEGLĄD PRASY

Im bliżej było do 1 maja br., czyli formalnego wejścia Polski do Unii Europejskiej, tym częściej słyszano się opinie, że czeka nas znaczna podwyżka cen. Nerwowość dało się zauważyć już w połowie marca i wtedy do akcji ruszyli gremialnie dziennikarze, politycy i ekonomiści, aby uspokoić opinię publiczną...

Jednak podrożało

Strach ma wielkie oczy – czytaliśmy w *Gazecie Wyborczej* – a skoro będą podwyżki, to my, konsumenci, sami będziemy sobie winni... Jeżeli będziemy przekonani – udawadniała Patrycja Maciejewicz – że jakieś ceny pójdą do góry (obojętnie, czy w związku z Unią, czy na przykład upalnym latem), to wcześniej czy później sprzedawcy te nasze oczekiwania zrealizują. Ekonomiści nazywają to zjawisko *samospełniającą się przepowiednią... Rzeczpospolita*, powołując się na ekspertów z Ministerstwa Finansów, uspokajała, że w wyniku naszej integracji z UE w tym roku ceny wzrosną średnio o 1,1 punkt procentowy... Nawet Leszek Balcerowicz zabrał w tej sprawie głos i w 1 programie Polskiego Radia (*Sygnaly dnia*) stwierdził, że podwyżka objemnie nie więcej niż 2-3 proc. produktów rynkowych.

Trzeba przyznać, że brzmiało to dosyć przekonująco. Tym bardziej, że w przypadku niezasadnionych podwyżek cen miał interweniować **Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów**, zaś **Narodowy Bank Polski** (czyli instytucja pilnująca wartości złotego) uruchomił specjalny numer telefonu, gdzie można było zgłaszać nadmierne i nieuzasadnione podwyżki. Tymczasem każdy, kto obserwował ceny w sklepach spożywczych, mógł się natychmiast przekonać, że te wszystkie zapewnienia i prognozy były niewiele warte. W ciągu niepełna dwóch tygodni cukier podrożał o ponad 100 proc. i jego cena doszła do czterech złotych za kilogram (podobno były też sklepy, gdzie kosztował nawet 7 złotych!). Gwałtownie zaczęło drożeć masło: na przykład w sklepie, w którym robię codzienne zakupy, najtańsza kostka kosztowała na początku kwietnia jeszcze 1,87 zł, by na początku maja przekroczyć 3 złote. Zawsze o tej porze roku, od kilkudziesięciu lat, taniały kurse jaja

i ich cena była w czerwcu niższa o około 30 proc. niż w zimie. Ale teraz cena jaj prawie nie drgnęła i kosztują niemal tyle samo, ile kosztowały w lutym. Niby więc nie zdrożały, ale przecież są o jedną trzecią droższe niż o tej samej porze roku temu. Wkrótce na potęgę zaczęło drożeć wszystko, co każdego dnia wkładamy w sklepie do koszyka. Mięso wołowe – o ponad 30 proc., wieprzowina, drób – średnio dwadzieścia. A ponadto sery, makarony, herbata, ryby, mąka i owoce cytrusowe, oleje i oliwa z oliwek, ubranka dla dzieci oraz niektóre leki (na przykład według ekonomistów witamina C miała stanąć, a podrożeć!).

Oczywiście ludzie poczuli się oszukani. Oto ekonomiści i poważne (zdawałoby się!) instytucje rządowe zapowiadały podwyżki rzędu jednego procenta, a tutaj ceny wzrosły nawet dwukrotnie. Ba! Miało podrożeć najwyżej 3 proc. artykułów, tymczasem podrożało niemal wszystko, co każdego dnia kupujemy. I to znacznie! Wbrew zapewnieniom profesora Andrzeja Kowalskiego (dyrektora **Instytutu Ekonomiki Rolnictwa**), który zapowiadał na łamach *Gazety Wyborczej*, że w pierwszym roku po rozszerzeniu Unii ruch cen będzie nieznaczny...

Albo czy rzeczywiście społeczeństwo zostało okłamane? Czy może raczej nie tak, jak należy, zrozumiało wszystkie prognozy instytucji rządowych i zapewnienia ekspertów? Zatrzymajmy się przy sprawie, albowiem jest ona dowodem powszechnej manipulacji, jakiej dopuściły się media oraz ekonomiści i eksperci Ministerstwa Finansów.

Twierdząc, że podwyżka cen objemnie najwyżej 2-3 proc. artykułów, mieli oni całkowitą rację. Zważmy bowiem, że liczba wszystkich dostępnych w handlu rzeczy wynosi jakieś kilkaset tysięcy, a może nawet sięga miliona. Owe 2 proc. z tego miliona, to zaledwie (ale i aż!)


– dwadzieścia tysięcy. I akurat wśród owych dwudziestu tysięcy znalazły się niemal wszystkie artykuły spożywcze. Takie są właśnie reguły wielkich liczb. Toteż – statystycznie – wszystko jest w porządku! Nikomu nie można zarzucić jawnego kłamstwa! Nie podrożały przecież kagańce dla psów, doniczki do kwiatów, telewizory, szyny tramwajowe, świece zapłonowe do silników spalinywych, żarówki, młotki, siekiery, gwoździe i kosiarki elektryczne. Nie podrożało kilkaset tysięcy przedmiotów, których prawie nikt nie kupuje albo które kupuje raz na całe życie (np. młotek albo nożycki). To po pierwsze.

Po drugie prawo wielkich liczb polega na tym, że jeżeli cena jednego artykułu wzrośnie o sto proc., a cena dziesięćdziesięciu dziesięciu nie ulegnie zmianie, to statystycznie każdy z owych stu artykułów podrożeje tylko o jeden procent. Generalnie i statystycznie wszystko jest zatem w porządku. Ale tak naprawdę – w porządku nie jest i ludzie najpełniej słuszenie czują się oszukani i nabici w butelkę.

Przeciętnego, statystycznego konsumenta, który obawia się podwyżki cen, zupełnie nie obchodzi, czy kagańce dla psów, obęgi albo młotki zdrożeją o sto czy nawet o pięćset procent. On na uważa ma swój codzienny koszyk zakupów. Ekspert, który zapewnia uspokajająco, że podwyżka będzie rzędu jednego procenta i objemie 3 procent artykułów, a nie wyjaśnia tego szczegółowo, dopuszcza się tedy świadomej manipulacji, co równoznaczne jest z tym, że po prostu oszukuje. Tak oto 15 lat po upadku PRL-u tzw. wolne media, rząd i niezależni eksperci posłużyli się taką samą metodą propagandową, jaką w grudniu 1970 r. posłużył się Władysław Gomułka, objaśniając zszokowanemu społeczeństwu drańską podwyżkę cen żywności. Wprawdzie mięso, nabiał, cukier i pieczywo podrożały o 30 procent, ale potaniał węgiel, szyny tramwajowe, lokomotywy i prześcieradła, toteż *per saldo* – tumażył Gomułka – wszystko statystycznie potaniało. Tylko że tego rodzaju obniżki cen ludzie nie chcą jakoś przyjmować do wiadomości...

Andrzej W. Pawluczuk

Anielska pielgrzymka




Księża Michalici i Ruch Apostolski Czcicieli Św. Michała Archanioła zapraszają wszystkich chętnych do udziału w autokarowej pielgrzymce do **Włoch** w terminie **26.09 – 3.10.2004 r.**

TRASA: Marki k. Warszawy – Warszawa – Kraków – Znojmo – Rimini – Loreto – Lanciano – Monte San Angelo – San Giovanni Rotondo – Monte Cassino – Rzym – Padwa.

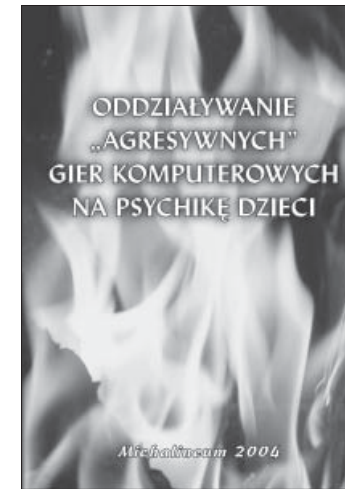
W PROGRAMIE:
– udział w uroczystościach odpustowych w sanktuarium św. Michała Archanioła w Monte San Angelo w górach Gargano (28-29.09 br.);
– nawiedzenie miejsc związanych z życiem i posługą św. Ojca Pio w San Giovanni Rotondo;
– zwiedzanie sanktuariów w Loreto, Lanciano, Monte Cassino, Padwie i Rzymie.

Organizatorzy zapewniają: przejazd autokarem z pełnym wyposażeniem (klimatyzacja, opuszczone siedzenia, barek, toaleta), obsługę pilota-przewodnika na całej trasie, ubezpieczenie **NNW** i **KL**, śniadania i obiadokolacje, noclegi w hotelach (pokoje 2- i 3-osobowych z łazienkami).

Kontakt i zapisy: ks. Piotr Prusakiewicz CSMA
Ośrodek Czcicieli Św. Michała Archanioła,
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 MARKI 4
tel.: 022 781 14 90;
kom.: 0-603 511 225 lub 0-505 830 690
e-mail: galbog@o2.pl



Odcinek dla banku zł..... słownie..... złotych..... wpłacający..... adres.....	Odcinek dla posiadacza rachunku zł..... słownie..... złotych..... wpłacający..... adres.....	Odcinek dla poczty zł..... słownie..... złotych..... wpłacający..... adres.....	Odcinek dla wpłacającego zł..... słownie..... złotych..... wpłacający..... adres.....
„Powściągliwość i Praca” ul. Piłsudskiego 248/252 05-261 Marki 4 PKO BP SA IV O/W-wa Filia Włocławin nr 08 1020 1042 0000 8302 0009 1181	„Powściągliwość i Praca” ul. Piłsudskiego 248/252 05-261 Marki 4 PKO BP SA IV O/W-wa Filia Włocławin nr 08 1020 1042 0000 8302 0009 1181	„Powściągliwość i Praca” ul. Piłsudskiego 248/252 05-261 Marki 4 PKO BP SA IV O/W-wa Filia Włocławin nr 08 1020 1042 0000 8302 0009 1181	„Powściągliwość i Praca” ul. Piłsudskiego 248/252 05-261 Marki 4 PKO BP SA IV O/W-wa Filia Włocławin nr 08 1020 1042 0000 8302 0009 1181
Datownik Opłata podpis przy.....	Datownik Opłata podpis przy.....	Datownik Opłata podpis przy.....	Datownik Opłata podpis przy.....



Wydawnictwu *Michalineum* należy się medal za odwagę. Żeby w dobie fascynacji cywilizacją techniczną, zwłaszcza telekomunikacją i informatyką – mówić o negatywnym wpływie gier komputerowych na psychikę dziecka – trzeba mieć sporo odwagi.

Zebrał pokłosie sesji naukowej KUL na temat wplywu gier komputerowych na psychikę dzieci są pierwszą na naszym gruncie próbą minisyntezy wiedzy o tym niezmiernie ważnym zjawisku.

Uczestnicy sesji byli zainteresowani wynikami eksperymentów przeprowadzonych przez naukowców KUL wśród grup dzieci *komputerowych i niekomputerowych*. Wyniki okazały się zaskakujące. Dzieci *bawiące się w zabijanie* różnią się od tych, które się w takie gry *nie bawią*. Kontakty międzyludzkie dzieci *komputerowych* charakteryzują się agresywnością, roszczeniowością, nieliczeniem się z normami społecznymi, chęcią podporządkowania sobie innych, impulsywnością i obojętnością emocjonalną. Znacząca jest również duża przewaga postawy *mieć nad być*. I nie chodzi jedynie o dobra materialne, lecz w większym stopniu o posiadanie władzy bezwzględnej, realizującej się często w formach sadystycznych.

To chyba wystarczy, aby wychowawcy, rodzice, ludzie odpowiedzialni za edukację, zaczęli poszukiwać sposobów przeciwdziałania. Inaczej wnet zajrzy światu w oczy groza apokaliptycznej *cyberiad*... Wypada wspomnieć, że ww. *sesja naukowa KUL* odbyła się 17 maja 2000 r., a część materiałów została już opublikowana w książce Marii Braun-Gałkowskiej i Iwony Uflik-Jaworskiej *Zabawa w zabijanie* (Lublin 2000).

Książkę *Oddziaływanie agresywnych gier komputerowych* Wydawnictwo *Michalineum* proponuje pod adresem:

Wydawnictwo *Michalineum*
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki

tel. (22) 781 14 20, fax 771 36 15 lub e-mail: wydawnictwo@michalineum.pl

Cena jednego egzemplarza wynosi 6 zł plus koszt wysyłki.

Zapraszamy do odwiedzenia naszej strony internetowej:
www.michalineum.pl

Wydawca miesięcznika *PiP*:

Wydawnictwo *MICHALINEUM*
przy Kurii Generalnej
Zgromadzenia św. Michała Archanioła
Dyrektor Wydawnictwa *Michalineum*
ks. Krzysztof Kuźnik CSMA

Redaguje:

Redaktor naczelny: ks. Sylwester Łącki CSMA
tel. (22) 771 45 95 lub 0 602 603 717
e-mail: pip@michalineum.pl

Adres redakcji:

PiP, ul. Piłsudskiego 248/252,
05-261 Marki k. Warszawy
tel. Wydawnictwa: (22) 781 16 40
www.michalineum.pl

Skład, łamanie, druk:

Drukarnia *MICHALINEUM*.
Grafika komputerowa:
ks. Andrzej Rybicki CSMA

Redakcja nie zwraca maszynopisów
nie zamówionych.

Najkorzystniejsza jest prenumerata

Warunki prenumeraty

Roczna prenumerata 1 egz. wynosi 48 zł
Pieniądze należy wpłacać na konto:

PKO BP SA IV O/Warszawa
Filia Wołomin
08 1020 1042 0000 8302 0009 1181

W miejscu przeznaczonym na korespondencję prosimy wpisać okres prenumeraty i liczbę prenumerowanych egzemplarzy.

Miesięcznik można otrzymać również za pobraniem pocztowym.

W przypadku większej liczby egzemplarzy (ponad 10) udzielamy rabatu.

Zamówienia na miesięcznik *PiP*
prosimy kierować na adres:

Wydawnictwo *MICHALINEUM*
(dział kolportażu)
ul. Piłsudskiego 248/252
05-261 Marki
tel.: (22) 781 14 20

Redakcja dysponuje ograniczoną liczbą
egzemplarzy archiwalnych.

Miesięcznik można także nabyć w następujących domach zakonnych Zgromadzenia:
1. Warszawa-Bemowo II, ul. Ks. Markiewicza 1
2. Miejsce Piastowe, ul. Ks. Markiewicza 25a
3. Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95a
4. Stalowa Wola, ul. Ofiar Katynia 57
5. Toruń, ul. Rybaki 59

Za zgodą władz kościelnych

Nakład: 5000 egz.

DRODZY CZYTELNICY !

Informujemy, że cena jednego egzemplarza miesięcznika

Powściągliwość i Praca

wynosi 4,00 zł.

Zachęcamy do prenumeraty naszego czasopisma.
Koszty wysyłki pokrywa redakcja.

Prenumerata krajowa 1 egzemplarza wynosi:

roczna – 48 zł
półroczna – 24 zł

Prenumerata zagraniczna 1 egzemplarza wynosi:

w Europie:
roczna – 30 \$
półroczna – 15 \$
w pozostałych krajach:
roczna – 46 \$
półroczna – 23 \$
(lub równowartość w zł)

Przy zamówieniu 10 egzemplarzy udzielamy rabatu.

Aby otrzymać *Powściągliwość i Pracę* do domu, wystarczy czytelnie wypełnić zamieszczony obok blankiet, zaznaczając na odwrocie okres prenumeraty oraz liczbę egzemplarzy, wyciąć go oraz wpłacić na pocztę odpowiednią kwotę.

Prenumeratę można rozpocząć w dowolnym czasie na okres roku lub półroczna.

Prenumerata miesięcznika *Powściągliwość i Praca* może stanowić szczególnie miły upominek dla przyjaciół lub krewnych, zwłaszcza mieszkających za granicą, a także dla starszej lub chorej osoby, której skromna emerytura wystarcza jedynie na podstawowe potrzeby.

Rozpowszechniając prasę katolicką, włączasz się w dzieło *Nowej Ewangelizacji*, przyczyniasz się do formowania zdrowej opinii publicznej, pomagasz innym odkrywać piękno ewangelicznych wartości, stajesz się świadkiem Chrystusa.

Stałych Czytelników *PiP* zachęcamy do propagowania naszego miesięcznika wśród krewnych i znajomych, a tym, którzy już przyczynili się do jego popularyzacji, serdecznie dziękujemy.

W razie jakichkolwiek nieprawidłowości związanych z realizacją prenumeraty, uprzejmie prosimy o pilną informację na adres redakcji.

Prenumerata
miesięcznika
Powściągliwość i Praca
na rok 2004

– półroczna
 – roczna

..... – egz.

Bóg zapłać!

Prenumerata
miesięcznika
Powściągliwość i Praca
na rok 2004

– półroczna
 – roczna

..... – egz.

Bóg zapłać!

Prenumerata
miesięcznika
Powściągliwość i Praca
na rok 2004

– półroczna
 – roczna

..... – egz.

Bóg zapłać!

Prenumerata
miesięcznika
Powściągliwość i Praca
na rok 2004

– półroczna
 – roczna

..... – egz.

Bóg zapłać!